NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 27 października 1906 r. Nr. 43.

Morderca własnej rodziny.

(Treść na stronie 2).



Morderca własnej rodziny.

(Do illustracyi tytułowej).

Bohaterem tragedyi, o której tu piszemy, jest 45-letni Karol hr. Ścibor-Marchocki, polski adwokat w Odessie, który przedtem pracował na różnych stanowiskach w ministeryum sprawiedliwości w Petersburgu, to znów był podprokuratorem, wreszcie sędzią pokoju w gubernii besarabskiej. Będąc jeszcze studentem, ożenił się z panienką, stojącą pod względem wychowania znacznie niżej od niego i zdaje się, że skutkiem tego pożycie ich małżeńskie było przykre, a przeplatały je wieczne kłótnie i awantury domowe. Siedmioro dzieci nie polepszyło stosunków między rodzicami. W ostatnim czasie sytuacya stawała się coraz bardziej naprężona. Hrabia pewien czas mieszkał w Odessie w towarzystwie tylko tych członków rodziny, których sobie wybrał jako ulubieńców, a z resztą dzieci i żoną zerwał. Ale niedawno temu powrócił do dóbr swoich koło stacyi Wygoda i zamieszkał z całą familią. Przed kilku dniami przy śniadaniu sprzeczka małżeńska przybrała charakter ostrzejszy. Rozdrażniony hrabia poskoczył po dubeltówkę i zaczął strzelać. Padły trzy trupy: żona i dwie starsze córki, gimnazyastki, a hrabia strzelał dalej i byłby wymordował doszczętnie całą rodzinę, gdyby nie przytomność paru domowników, którzy zdołali go rozbroić.

Odszedł stary sługa....

Odszedł stary sługa domu monarszego w Austro-Węgrzech, wierny przyjaciel Habsburgów, wielki mistrz dworaków wiedeńskich; usunął się w zacisze rodzinne po wielu latach politycznego żywota doświadczony dyplomata światowy, który jednak nie mógł sobie wreszcie poradzić ze swymi przeciwnikami w obu połowach państwa. Agenor hrabia Gołuchowski złożył tekę ministra spraw zagranicznych, którą dzierżył przez lat 11 bez przerwy, objąwszy urząd po Kalnokym. Nie wdajemy się w tej chwili w roztrząsanie przyczyn upadku ministra, który miał wrogów bez liku i za granicą i w monarchii, na którego napadali często nawet rodacy, a który pod ostatek utracił sympatyę i wśród dawnych zwolenników. Ustąpienie jego nie jest niespodzianką, domagali się tego przedewszystkiem Węgrzy od dawna, a oczekiwali jego dymisyi wszyscy od kilku miesięcy, toteż mieliśmy nawet okazyę na tem miejscu pisać szerzej o powodach, dla których jego przeciwnicy pragnęli zmiany ministra spraw zewnętrznych. Poprzestajemy tedy jedynie na przypomnieniu paru dat z jego życia.



Odszedł stary sługa...: Wierny sługa i przyjaciel Habsburgów, a kuzyn wielu rodów panujących, kawaler orderu Złotego Runa, Agenor hr. Gołuchowski, który ustąpił po 11 latach z urzędu ministra spraw zagranicznych i ministra domu cesarskiego.

Syn znakomitego męża stanu, urodził się Agenor Gołuchowski w 1849; po ukończeniu studyów wstąpił do służby dyplomatycznej. Był parę razy w ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie doszedł łatwo do stopnia radcy dworu. Naprzód bawił w Berlinie jako attache, później w Paryżu jako radca ambasady. Ambasadorem we Francyi nie mógł zostać, jako powinowaty z rodziną Bonaparte, ożenił się bowiem przed 21 laty z księżniczką Murat, wnuczką szwagra Napoleona I. Posłano go tedy na trudne stanowisko posła do Bukaresztu, gdzie korzystnym traktatem handlowym udało mu się zakończyć wojnę cłową Rumunii z Austro Węgrami. Po ośmiu latach opuścił Bukareszt i przeniósł się do swych dóbr w Skale w Galicyi, lecz rychło powołano go do Wiednia na ministra spraw zagranicznych. Jednocześnie, jako mistrz w pozie wysokiego dyplomaty, okazał się Gołuchowski w Burgu na balach i uroczystościach dworskich niezrównanym ministrem domu cesarskiego, co mu zjednało wielkie sympatye Korony. Wielkich względów monarchy i do tej chwili nie stracił ustępujący minister, który, jak wiadomo, jest kuzynem kilku domów panujących w Europie, a co najważniejsze, kawalerem orderu Złotego Runa. Niezwykłe to odznaczenie, najwyższe, jakie może zdobyć dyplomata, a nie członek rodu panującego, otrzymał Gołuchowski za zażegnanie przed 10 laty ewentualnego konfliktu z Rosyą. Wtedy i Petersburg przysłał mu najwyższy order — Andrzeja. Do zasług jego należy nadto utrzymanie trójprzymierza, w którem widzą politycy niemieccy talizman pokoju. Natomiast zarzucają mu, że na korzyść Austryi nie potrafił wyzyskać parokrotnie szczęśliwych sposobności zewnętrznych ale podobno krępowały go w tem względy polityki wewnętrznej.



Ćwierćwiekowy jubileusz kapłaństwa: Piętnastu kapłanów-jubilatów z dyecezyi krakowskiej i tarnowskiej na Wawelu: 1. ks. dr. Czesław Wądolny, prałat domowy J. Świętobl., kanonik katedralny w Krakowie, 2. ks. Jakób Krogulski, proboszcz w Żdżarcu, 3. ks. Jan Oleksik, poddziekan i proboszcz w Podegrodziu, 4. ks. Jan Czopek, proboszcz w Jakóbowicach, 5. ks. Jacek Kopiński, poddziekan i proboszcz, 6. ks. Wł. Dobrowolski, prob. w N. Rybiu. 7. ks. dr. Józef Rychlak, proboszcz św. Mikołaja w Krakowie, 8. ks. Ludwik Fonferko, inspektor szkół lud. w Myślenicach, 9. ks. Józef Woźniak, deficyent w Podgórzu, 10. ks. Marcin Zuziak, ekspozyt w Przydonicy, 11. ks. Józef Krupiński, wikaryusz w Jazowsku, 12. ks. Józef Bryjski, prob. w Gwoździcu, 13. ks. Kaz. Łazarski, proboszcz w Limanowej, 14. ks. Tomasz Bryniarski, ekspozyt w Ponikwi, 15. ks. Wojciech Łapiński, proboszcz w Bolechowicach.

Ćwierćwiekowy jubileusz kapłaństwa.

25-letni jubileusz kapłaństwa obchodziło niedawno w sposób uroczysty na Wawelu 15 kapłanów dyecezyi krakowskiej i tarnowskiej, zgromadzonych u ks. prałata Wądolnego. Oto grupa jubilatów, pod którą znajdzie Czytelnik nazwiska wszystkich uczestników uroczystości, przybyłych umyślnie do Krakowa na obchód niezwykły z różnych miejscowości obu dyecezyi. Po odprawieniu nabożeństwa żałobnego za 8 zmarłych kolegów przez ks. Krogulskiego przed ołtarzem św. Stanisława, celebrował ks. dr. Wądolny wotywę dziękczynną przed wielkim ołtarzem katedry królewskiej. Stosowną konferencyą duchowną wygłosił do kolegów ks. dr. Rychlak, poczem kapłani jubilaci odśpiewali „Te Deum“. Goście zwiedzili, po ukończeniu uroczystości kościelnej, narodowe zabytki w katedrze i na zamku, przyczem objaśnień udzielał ks. prałat Wądolny, który następnie podejmował gościnnie kolegów-kapłanów w swojem nowem mieszkaniu w muzeum dyecezyalnem na Wawelu.

Pionier polskiego szkolnictwa.

Ubyła nam jedna z najwybitniejszych postaci w dziejach szkolnictwa polskiego w erze autonomicznej Galicyi. W późnym wieku, bo w 84-tym roku życia zasłużonego, zamknął powieki śp. Bronisław Trzaskowski, pensyonowany dyrektor gimnazyalny i radca szkolny. Światły ten pedagog rozpoczynał swój zawód nauczycielski jeszcze za czasów wszechwładztwa centralizmu w Austryi i germanizacyi w Galicyi. Nie mógł on się pogodzić z ówczesnym systemem, jako człowiek postępowy a niezależny w przekonaniach i uczuciach narodowych, nie dziw tedy, że jako politycznie podejrzanego pozbawił go rząd posady dyrektora gimnazyalnego w Samborze, a przeniósł w drodze dyscyplinarnej do gimnazyum rzeszowskiego w charakterze profesora. Ale kiedy zmieniły się czasy i utworzono we Lwowie Radę szkolną krajową, powołany został Trzaskowski w 1876 na stanowisko dyrektora gimnazyum do Tarnowa, gdzie pozostał już do 70 roku życia. Gdy wprowadzono język polski do szkół średnich, on właśnie wspólnie ze śp. Samolewiczem opracował pierwsze podręczniki do nauki języków klasycznych, a w szeregu rozpraw po dziennikach i pismach fachowych wytyczał nowe drogi dla szkolnictwa krajowego. Obdarzony niezwykłym darem wymowy dydaktycznej, człowiek szerokiej wiedzy a samodzielnych poglądów na świat i życie, szczerze zamiłowany w swoim odpowiedzialnym zawodzie, wykształcił Trzaskowski całe pokolenie uczniów, którzy po dziś dzień z wdzięcznością wspominają jego imię, sami w życiu publicznem znajdując się już dawno na stanowiskach kierujących. Należał on do tych pierwszych w erze autonomicznej Galicyi pedagogów, którzy potrafili dla wychowania publicznego wyzyskać wolność daną krajowi i za to właśnie wdzięczność szczera naszego społeczeństwa należy się bezsprzecznie temu pionierowi polskiego szkolnictwa w zaborze austryackim. Oprócz olbrzymich zasług na innych polach pedagogii, pamiętne pozostanie imię Bronisława Trzaskowskiego nadto jako szczerego zwolennika równouprawnienia kobiet, który był założycielem i pierwszym dyrektorem gimnazyum żeńskiego przy ul. Wolskiej w Krakowie. Z powodu nieporozumień z zarządem tej szkoły, usunął się z tego stanowiska i żył odtąd w zaciszu domowem. Zmarły pozostawił w ciężkiej żałobie rodzinę, z której jeden syn jest radcą sądu krajowego w Krakowie, drugi starostą w Brzesku.



Pionier polskiego szkolnictwa: Zmarły w 84 r. życia w Krakowie, jeden z najzasłużeńszych pedagogów polskich, ś. p. Bronisław Trzaskowski, emerytowany dyrektor gimn. i radca szkolny, założyciel gimnazyum żeńskiego przy ulicy Wolskiej.

Wizyta w Czernichowie.

Czwarty i ostatni dzień świeżo w Krakowie odbytego zjazdu polskich prawników i ekonomistów poświęcono wycieczce do Czernichowa dla zwiedzenia tamtejszych urządzeń. Na zaproszenie zarządu Kółek rolniczych w powiecie krakowskim przybyło 30 uczestników zjazdu do Czernichowa, a byli to głównie goście z Królestwa i z Wielkopolski, którzy byli ciekawi naszych urządzeń wiejskich. Rozpoczęto od Spółki oszczędności i pożyczek, gdzie ks. kan. Jelonka powitawszy miłych gości zakordonowych, udzielał im wszelkich objaśnień. Potem zwiedzano bazar Kółka rolniczego, gdzie oprowadzał przybyłych dr Gargas. Obejrzano internat dla uczniów kursu handlowego i miejscową czytelnię Tow. Szkoły Lud. Z inicyatywy posła Fr. Nowodworskiego z Warszawy zebrano składkę na ten Dom ludowy w Czernichowie. Z kolei przeszli goście do znanej szkoły rolniczej i oprowadzani przez prof. Kuhla oglądali internat szkolny, pola doświadczalne, stajnie, narzędzia rolnicze itp. Po obiedzie uczestnicy wycieczki fotografowali się w grupie, z posłami ze wszystkich ziem polskich pośrodku; fotografię tę reprodukujemy właśnie w dzisiejszym numerze. Następnie odbyło się zebranie powiatowe Kółek rolniczych pow. krakowskiego, a na trybunie zasiedli prócz prezesa zarządu pow. Włodz. Tetmajera, wiceprezesa dra Surzyckiego i członków zarządu głównego dra Gargasa i Fr. Wójcika z Wyciąż, także byli posłowie do Dumy: Fr. Nowodworski i Szczęsny Poniatowski, dalej b. poseł do parlamentu niemieckiego Adam Woliński oraz Zygmunt Rychłowski z Poznania, wiceprezes komitetu zjazdu prawników radca Szybalski, dr H. Kozicki z Warszawy. Nadto na sali obrad zasiedli między innymi ks. Paweł Woroniecki, mec. Kijeński, radca Bugayski, pp. Wasiutyński, Orzechowicz i inni. Goście z wielkiem zadowoleniem wysłuchali licznych a zajmujących referatów, wygłoszonych na zebraniu, poczem wpisali przed odjazdem do Krakowa nazwiska swe do księgi pamiątkowej.



Zdjęcie fot. dra S. Lewickiego ze Lwowa.

Wizyta w Czernichowie: Grupa uczestników zjazdu polskich prawników i ekonomistów, przeważnie gości z Królestwa i Wielkopolski, na wycieczce w Czernichowie, dla zwiedzenia tamtejszych urządzeń wiejskich: 1. mec. Rychłowski z Poznania, 2. mec Kijeński z Warszawy, 3. prof. dr. Surzycki, 4. mec. Woliński z Poznania, 5. Orzechowicz, 6. ks. Sinalewski z Patagonii, 7. dr. Gargas ze Lwowa, 8. Datlez, 9. ks. Jelonka, 10. poseł Szczęsny Poniatowski.

CONAN DOYLE.

PÓŹNA ZEMSTA

z angielskiego przełożył W. L.

ZE WSPOMNIEŃ WATSONA

5

(Ciąg dalszy.

— Gregson ma słuszność — zabrał głos Lestrade. Dotąd próbowaliśmy nadaremnie, domyśleć się czegoś i jeśli pan rzeczywiście posiada dowody w ręku, jak pan to twierdzi, to sądzę, że nie będzie pan dłużej z tem zwlekał — panie Holmessie!

— Najważniejszą rzeczą wydaje mi się schwytanie mordercy, aby go uczynić nieszkodliwym — dodałem — by nie mógł dopuszczać się nowych zbrodni.

Party ze wszech stron zdawał się Sherlock Holmess nie wiedzieć, jak ma postąpić. Ze zmarszczonemi brwiami, spuściwszy głowę na piersi, chodził jak zwykle po pokoju, namyślając się długo. Nagle stanął przed nami.

— Nie spełni już on żadnego mordu — bądźcie tego pewni — zawołał dobitnie. Pytacie mnie o nazwisko zbrodniarza, znam je. Co więcej spodziewam się panowie, że w krótkim stosunkowo czasie dostanę go w swoje ręce. Wszystkie przygotowania poczynione, lecz przeprowadzenie planu wymaga szalonej ostrożności, gdyż będziemy mieli do czynienia z człowiekiem odważnym, zdecydowanym na wszystko. Nie brak mu także pomocy ze strony bardzo zręcznego przyjaciela, mam na to dowody w ręku. Niechby tylko podejrzywał nas o co, wnet przybierze sobie inne nazwisko i zniknie bez śladu między czterema milionami mieszkańców Londynu. Nie chciałbym was panowie obrażać, ale mojem zdaniem policya jest zupełnie bezsilna wobec tych rzezimieszków, dlatego też nie prosiłem was wcale o pomoc, i wolę sam ponieść naganę i odpowiadać, jeśli sprawa się nie uda. W każdym razie obiecuję wszystko panom donieść natychmiast, skoro się dowiem, że plany moje mogą być w czyn wprowadzone.

Obaj detektywi nie byli zadowoleni z tego zapewnienia i wyroku mego przyjaciela. Gregson poczerwieniał jak burak, a oczy Lestrada błyszczały ogniem ciekawości i gniewu zarazem. Nie mieli jednak czasu wywnętrzyć się z tego co im leżało na sercu, bo w tej chwili zapukał do drzwi najstarszy z obszarpanej gromady, młody Wiggins, we własnej osobie.

— Chciałem zameldować pokornie — zawołał salutując po wojskowemu — że przyprowadziłem dorożkę, stoi na dole.

— Brawo! — zawołał Holmess zadowolony. Wyciągnął szybko ze szuflady parę stalowych kajdanków. — Patrzcie tylko panowie, jak się prędko zamykają — w mgnieniu oka. Dlaczego nie wprowadziła ich dotąd policya?

— Stare spełniają dosyć dobrze swoje zadanie — odparł Lestrade — rzecz główna dostać zbrodniarza, któremu możnaby te kajdanki nałożyć.

— Zapewne! zapewne! — potwierdził Holmess z uśmiechem.

— Wiggins — poproś no dorożkarza, by przyszedł jeszcze na górę i pomógł mi przy zniesieniu kuferka — zawołał Holmess, zwracając się do najmniejszego z detektywów.

Zdziwiłem się ogromnie, że mój przyjaciel wybiera się w podróż, gdyż nie wspominał mi o tem słowem. W pokoju stał mały ręczny kuferek, który teraz Holmess wyciągnął i zaczął przymykać. Był tem jeszcze zajęty i klęczał na ziemi, gdy wszedł do pokoju dorożkarz.

— Czy nie mógłby mi pan pomódz ściągnąć silniej ten pasek?

Posłyszeliśmy ostry, metaliczny dźwięk i w tej chwili poskoczył Holmess jak strzała.

— Moi panowie — zawołał z iskrzącym wzrokiem — mam zaszczyt przedstawić wam Jeffersona Hope, mordercę Enocha Drebbera i Józefa Stangersona!

Wszystko to stało się z taką szybkością, że zaledwie mogliśmy sobie zdać sprawę, z tego co się tam działo, pamiętam jednak wyraźnie tryumfującą postawę Holmessa, jego głos wyniosły i ogłupiałą, zdziwioną minę Jeffersona, z jaką przypatrywał się kajdankom, które dziwną jakąś potęgą pozbawiły go wolności.

Staliśmy niemi jak słupy, ale tylko przez chwilę, gdyż Jefferson wydał ze siebie nagle nieludzki krzyk, pełen nienawiści i wściekłości, wyrwał się z nadludzką prawie siłą z objęć Holmessa i poskoczył do okna. Szyby potrzaskał na drobne kawałeczki, zanim jednak zdołał wyskoczyć przez okno, przyskoczyli Gregson i Lestrade ku niemu, niby psy gończe ku swojej zdobyczy. Pociągnęli go za sobą w głąb pokoju i rozpoczęła się walka na śmierć i życie. Siłą olbrzyma odpychał nas wszystkich od siebie, parę razy udało mu się wyrwać z naszych żelaznych uścisków. Potrzaskane szkło poraniło twarz jego okropnie, lecz upływ krwi nie zdawał się osłabiać jego siły. Dopiero kiedy udało się Lestradowi włożyć mu rękę z tyłu za kołnierz, gdy go prawie dusić już począł, zrozumiał Jefferson, że dalsze próby ucieczki na nic się nie przydadzą. Dla bezpieczeństwa związaliśmy mu nogi i dopiero wtedy odpoczęliśmy sobie troszkę.

— Jego dorożka jest jeszcze na dole, zawieziemy go zaraz na policyę — zawołał Shelock Holmess. — A teraz panowie — dodał — jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie wasze pytania. Moja tajemnica wyjaśniona, nie potrzebujecie się zatem obawiać, że odmówię wam upragnionych wskazówek.

W kraju Świętych.

ROZDZIAŁ VIII.

Na rozległej równinie Alkali.

Wewnątrz stałego lądu Północnej Ameryki znajduje się sucha, niegościnna okolica, pustynia, która była przez tysiące lat niedającą się usunąć przeszkodą dla postępu cywilizacyi. Rozległa ta pustynia, granicząca na północy z rzeką Jellowstone, na południu zaś z Colorado, rozciąga się od Sierra Nevady, aż po Nebraskę — głucha, milcząca. Niema tu wprawdzie jednostajności w naturze, niebotyczne szczyty gór zmieniają się po opustoszałych dolinach, rwiące rzeki skaczą po poszarpanych wąwozach górskich, dolinach nieznających końca, zamienianych na zimę w białe, śnieżnym całunem pokryte pola, w zimie znów zasypywane pyłem Alkali. Straszniejszej i bardziej groźnej okolicy nie znajdziesz już chyba nigdzie.

Kraina ta pełna zgrozy jest nie zamieszkałą. Pojedyncze gromady Pawneesów lub Indyan przeciągają tylko po niej, w pogoni za innemi okolicami polowania, ale nawet najodważniejszy Czerwonoskóry wydaje okrzyk radości, gdy minie wreszcie pełną grozy równinę i wydostanie się w końcu na ulubione stepy.

Tutaj czyha na zdobycz Cayote, ukryty w gęstwie, ptak drapieżny szybuje ociężale w powietrzu, a dziki, brunatny niedźwiedź szuka w szczelinach górskich skąpego pożywienia.

Bardziej smutniejszego wyglądu nie przedstawia żaden kraj na kuli ziemskiej, jak okolica, widziana ze szczytów Sierra Blanca. Jak daleko oko sięga, nic jeno płaska, bez końca równina, tu, tam pokrzywiony krzak Chapparal lub kupy prochu Alkali, który całą równinę pokrywa. W dali widać jeszcze łańcuchy górskie, których poszarpane szczyty śniegiem wieczystym pokryte. Zazwyczaj żywej duszy nie widać, żaden krzyk nie przerwie strasznej, okropnej ciszy, martwe, ponure milczenie panuje dookoła.

W środku pustyni widać jednak drogę karawany, gubiącą się w oddali. Niejeden wóz pozostawił w ziemi głębokie ślady kół, wielu myśliwych kroczyło tędy za szczęściem. Gdzieniegdzie połyskuje coś białego na piasku w promieniach słonecznych. Przypatrujesz się bliżej — i widzisz szkielety ludzi i zwierząt. Na tysiąc pięćset mil ciągnie się ta okropna, milcząca droga.

Taki mniejwięcej widok przedstawił się czwartego maja r. 1847 osamotnionemu podróżnikowi, spoglądającemu właśnie z małego wzgórka w dolinę. Trudno było rozpoznać wiek jego. Mógł mieć czterdzieści do sześćdziesięciu lat, a jego wychudłe i zapadłe policzki, wystające kości, poskórczana twarz, nadawały mu przy mleczno-białych włosach wygląd poważnego starca. Oczy jego, połyskujące nienaturalnym ogniem, głęboko mu wpadły, ręka jego kurczowo chwytająca za flintę, była strasznie wychudła i sucha jak kościotrupa, ubranie zwisało na nim. Gdy jednak stanął na wzgórku oparty o strzelbę, można było przypuszczać po jego wyniosłej i pogodnej postaci, że kiedyś lepiej wyglądał. Zwiędła twarz, pokurczone jego członki, zdradzały aż nadto dobrze powody jego strasznego wyglądu — człowiek ten był, bliski śmierci — ginął marnie z głodu pragnienia.

Z trudem wywlókł się przez poszarpane szczeliny górskie na ten pagórek, w zwodniczej nadziei, że uda mu się odkryć w pobliżu wodę. Przed nim rozciągała się wielka pustynia, ujęta niby w ramy przez dalekie górskie łańcuchy, dookoła ani śladu drzewa lub rośliny, ani śladu wilgoci. Chciwem okiem wodził po pustyni, ciekawie patrzał ku północy, południu i wschodowi, ale jak daleko rozciągała się równina, z nikąd nadziei ratunku. Więc myślał, że stanął wreszcie u kresu, że przyjdzie mu zamrzeć na tej ponurej pustyni.

— Czy teraz na twardym kamieniu, lub dwadzieścia lat później w wygodnem łożu, wszystko jedno — dodał z rezygnacyą, oparłszy się o twardy grzbiet skały.

Zanim usiadł, położył swą strzelbę na ziemi, a obok niej mały tłumoczek, otulony w szary szal. Tłumoczek za ciężki był zda się na jego wyczerpane siły, gdyż upadł na ziemię za prędko, gdy go zdejmował z swych barków. Posłyszał krzyk bolesny i wkrótce wyjrzała przerażona twarzyczka o jasnych, pogodnych oczkach i drobnych piąstkach.

— Boli — wołała mała istotka, głosem pełnym zarzutu.

— Czy być może — zapytał z żalem podróżny — biedne dziecko.

Rozwinął tłumoczek i w tej chwili wyskoczyła z niego pięcioletnia może dziewczynka, której ozdobne trzewiczki, różowa spódniczka i biały fartuszek świadczyły o staranności i zapobiegliwości matki. Dziewczynka była blada i wychudła, po jej okrągłych rączkach można było jednak poznać że ucierpiała znacznie mniej od swego ojca.

— Czy jeszcze bardzo boli — zapytał trwożnie, gdy młode dziewczątko trzymało się wciąż za główkę.

— Pocałuj mnie tylko, a wszystko już będzie dobrze — odpowiedziała, wskazując na bolesne miejsce. — Tak zawsze mama robiła. Ale co się z mamą stało?

— Mama daleko! Ale wnet ją ujrzysz dziecino! Tak mi się zdaje przynajmniej.

— Daleko, powiadasz? — zawołała mała — nigdy przedtem do cioci nawet nie szła tam naprzeciwko, aby mnie Bogu nie polecić, a teraz już trzy dni jej nie ma. Tak mi sucho w gardle, czy nie ma tatuś czego do picia?

— Nie serce — nie mam nawet kropelki wody. Cierpliwości dziecię, cierpliwości, wszystko będzie dobrze. Złóż twoją złotą główkę na mojem sercu, tak, teraz ci już lepiej, nieprawda? Język przysecha mi formalnie do podniebienia, a jednak muszę ci wyznać szczerą prawdę, tak, jak się rzeczy mają. Co trzymasz w rączce dziecko?

— Coś ładnego, co się swieci i połyskuje — odparła mała, pokazując z zadowoleniem dwa małe kawałki połyskującego metalu. Gdy przyjdziemy do domu, dam je bratu Berteloni.

— Niezadługo dam ci ładniejszą zabawkę — odparł dobitnie podróżny — poczekaj tylko chwileczkę. Ale, czy pamiętasz jeszcze, jak oddaliśmy się od rzeki.

— O pamiętam dobrze!

— Widzisz myśleliśmy, że wkrótce inną rzekę znajdziemy, lecz dotąd nie spotkaliśmy jeszcze żadnej. Niewiem, czy plan fałszywy, czy kompas może zepsuty. Woda dawno nam już wyszła, dla ciebie tylko było parę kropelek.

— Nie mogłeś się nawet umyć—odparła mała patrząc poważnie na jego poczernione oblicze.

— Nie było się nawet napić czego — najpierw zginął pan Bender, potem Indianin, pani Greg następnie Joanna Gones, a w końcu i twoja mama.

— Czy i mama umarła? Biedne dziewczątko ukryło twarz w dłoni, łkając gorzko za matką.

— Tak jest — moja dziecino — zginęli wszyscy prócz nas obojga. Spodziewałem się znaleźć w tej okolicy wodę, więc wziąłem cię na me barki i przywędrowałem aż tutaj. Na nic się to jednak nie zdało, teraz niema już rady.

Dziecina przestała nagle płakać.

— Czy myślisz, że i my umrzemy? — spytała, spoglądając na niego poprzez łzy, czerwonemi od płaczu oczyma.

— Śmierć i nas dogoni!

— Dlaczego nie powiedziałeś mi ojcze tego zaraz? — zawołała dziewczynka, śmiejąc się wśród łez do ojca. — Tak mnie przeraziłeś. Więc spotkamy się niezadługo z matulą, gdy umrzemy?

— Ty pewnie serduszko!

— I ty także. Powiem jej wszystko, jak to się ojcze o wszystko dla mnie starałeś. Więc wyjdzie pewnie naprzeciw, stanie przy bramie do nieba, trzymając w ręku świeżo upieczone, smaczne placuszki, takie, jakie my z Berthem lubimy. Ale jak długo musimy jeszcze poczekać?

— Nie wiem, pewnie niedługo.

Oczy starego ojca zwróciły się ku stronie północnej, gdzie unosiły się na horyzoncie trzy punkty, przybierające co chwila na rozmiarach. Wkrót-

ce rozeznał z łatwością trzy wielkie ptaki, o barwnem upierzeniu, widział, jak krążyły chwilę nad głowami ginących, aż wreszcie osiadły na pobliskiej, poszarpanej skale.

Były to sępy, ptaki pustyni, zwiastuny śmierci. Dziewczynka poczęła klaskać w dłonie.

— Te ptaki ładnie latają — zawołała uradowana — powiedz mi, czy kraj ten stworzył też Pan Bóg?

— Tak jest dziecino — odparł jej ojciec, zdziwiony niezmiernie zadanem pytaniem.

— On stworzył Illinois i Missouri, o tem wiem dobrze tatusiu — mówiło dalej dziewczątko. — Ale ten kraj wcale nie piękny, taki jakiś pusty — pewnie go stworzył ktoś inny, zapomniawszy przytem o wodzie i drzewach.

— Zmów teraz modlitwę — odezwał się starzec.

Głos jego drżał.

— Czy mam ją zaraz odmówić? Jeszcze nie jest późno, jeszcze nie wieczór.

— To nic nie szkodzi dziecino. Choć nie wieczór teraz, wierz mi dziecino, Bóg wysłucha twych dziecięcych próśb. Zmów twą wieczorną modlitwę, tak jak dawniej, gdy jechaliśmy przez Persyę.

— Dlaczego ty się ojcze nie modlisz? — zapytała mała, patrząc na niego ze zdziwieniem.

— Nie wiem sam czemu! To już tak dawno, jak się ostatni raz modliłem, że zapomniałem słów modlitwy. Mów ty wpierw moja dziecino, ja będę powtarzał za tobą.

— Musimy zatem uklęknąć, ty także — zawołała mała, rozkładając szal na ziemi. Musisz także ręce złożyć — tak — będziesz widział, że nam Pan Bóg pomoże.

Uklękli zatem obok siebie na ziemi, mała szczebiocząca dziewczynka i doświadczony starzec. Jej pełne niewinności oczy, i jego wychudłe oblicze, skierowane były w stronę pogodnego nieba. Błagali o litość i pomoc. Ton jego grubego, głębokiego głosu, zlewał się w jedną harmonijną całość z jej miękkim, miłym głosikiem. Po zmówionej modlitwie usiedli w cieniu skały i wkrótce zasnęła smacznie dziewczynka na piersiach jej ojca-obrońcy. Od trzech dni i nocy odmawiał sobie spoczynku, teraz jeszcze czuwał przy niej, ale natura domagała się swych praw. Powoli przymknęły mu się powieki, głowa opadła na piersi, jego siwe włosy pomieszały się ze złotymi loczkami dziecięcia i oboje zasnęli głębokim, wybawczym snem.

Gdyby był podróżny jeszcze pół godziny wytrzymał na warcie, byłby spostrzegł przed sobą dość dziwny widok. Na najdalszym skraju pustyni wznosiła się chmura dymu, początku trudna do rozeznania, zwiększała się zwolna coraz bardziej, stawała się coraz gęstsza, aż wreszcie utworzyła jedną gęstą, nieprzebitą masę. Chmura rosła coraz bardziej, aż można było na pewne przypuszczać, że zbliża się cała gromada ludzi i zwierząt. W preryach przypuszczanoby na pewne, że zbliża się stado bawołów, ale w tej pustej, dzikiej okolicy i pomyśleć o tem nie było można. Podróżni zbliżali się coraz bardziej do ściany skalnej, gdzie spoczywało tem głębokim ujętych dwoje zmęczonych ludzi. Już można było rozróżnić wozy z płóciennem okryciem, a gromada uzbrojonych ludzi wysunęła się naprzód. Co za lotny orszak! Gdy początek orszaku zbliżył się już do skały, nie można było w dali jeszcze ujrzeć ostatnich jeźdźców. Na przełaj przez daleką równinę rozciągała się masa najrozmaitszych wozów, obok których jechali uzbrojeni mężowie na koniach. Całe orszaki kobiet chyliły się pod ciężarami, jakie nałożono na ich barki, dzieci biegły za wozami i zaglądały ciekawie pod białe płótna.

To nie mógł być orszak zwykłych podróżnych, to było całe plemię koczownicze, które bieda lub prześladowanie zmusiły do wynajdywania sobie nowych siedzib, nowej ojczyzny. Krzyki i płacze słychać było dokoła, koła skrzypiały, mieszając się z rżeniem koni.

Lecz hałas ten nie zdołał obudzić naszych znękanych podróżnych.

Na czele orszaku jechało dwudziestu może mężów o rysach spiżowych, uzbrojonych we flinty, i w zwykłych odzieniach.

Przy skale zatrzymali swój orszak i zgromadzili się na wojenną naradę.

— Strumienie leżą po prawej ręce — moi bracia — powiedział człowiek o wygolonej twarzy i krótko ostrzyżonych włosach.

— Tak jest, na prawo od Sierra Blanca, to jest także droga, prowadząca do Rio Grande — odparł inny.

— Nie obawiajcie się braku wody — odpowiedział inny. — Bóg wypuścił raz wodę ze skały, nie opuści swoich wybranych.

— Amen, Amen — odpowiedziała gromadka.

Właśnie mieli ruszyć w dalszą drogę, gdy jeden z najmłodszych wydał okrzyk zdziwienia, wskazując na sterczącą skałę, na której bystre jego oko coś powiewającego dostrzegło, co się wyraźnie odbijało od ciemnych kamieni.



Uklękli zatem obok siebie na ziemi, mała szczebiocząca dziewczynka i doświadczony starzec.

Jak na komendę dodali bodźca swym koniom podróżni i zdjęli broń z ramion. Galopowała z tyłu nowa gromada jeźdźców, aby wzmocnić straż przednią.

— Indyanie! — brzmiało dokoła.

— W tutejszej okolicy niema Indyan — odpowiedział jakiś starszy człowiek, który miał nad nimi naczelne dowództwo. Pawneesów minęliśmy już dawno, a innych szczepów nie spotkamy, aż znajdziemy się po drugiej stronie tych gór niebotycznych.

— Ja poskoczę naprzód bracie Stangersonie — zawołał jeden z gromady — aby zobaczyć, co to właściwie oznacza.

— Ja także, ja także — odezwało się kilka głosów.

— Zostawcie wasze konie na dole, zaczekamy tu na was — rozkazał starzec. Szybko zeskoczyło z koni kilku podróżnych, przywiązali je, poczem rozpoczęli się spinać na pochyły pagórek, szybko i bez wrzawy, i to z zręcznością i pewnością wyćwiczonych szpiegów. Ludzie, pozostali w dolinie, śledzili ciekawie ich ruchy, odbijające się wyraźnie na tle pogodnego nieba, spinające się odważnie po skałach.

W tej chwili właśnie osięgli to miejsce.

Musiał to być niezwykły widok, jaki rozpostarł się przed ich zdziwionemi oczyma, gdyż wznieśli ręce do góry, dając w najrozmaitszy sposób do poznania, że zdziwienie ich dobiegło kulminacyjnego punktu.

Na płycie, wznoszącej się tuż obok zwykłego, poszarpanego pagórka, wznosił się jeden olbrzymi głaz skalny; o niego oparł się mąż o siwej brodzie i zmarszczonej twarzy. Jego głęboki, miarowy oddech, wskazywał dowodnie, że złożony jest snem sprawiedliwego. Obok niego spała młoda dziewczynka, objąwszy drobnemi rączętami jego starczą szyję, złotą zaś główkę wsparłszy na jego piersiach. Różowe usteczka dziewczątka rozwarły się trochę, a po jej mlecznej twarzyczce igrał uśmiech zadowolenia i szczęścia.

Trzy ptaki drapieżne, które siedziały spokojnie na wystającej skale pobliskiej, kracząc uciekły od ofiar, spostrzegłszy nowych przybyszów. Ich ochrypłe krakanie zbudziło śpiących, którzy zdumieni patrzeli na nieznanych im bliżej wybawców. Starzec podniósł się zwolna i niby przez sen spoglądał w dolinę, przed chwilką jeszcze pustą zupełnie, na której się teraz roiło od ludzi i zwierząt.

— Mam pewnie gorączkę—mruknął do siebie — kładąc rękę na czole.

Dziewczynka stała obok niego i trzymając się kurczowo swego ojca, patrzała błędnemi oczyma na nieznanych podróżnych.

Wybawcom udało się z trudem przekonać ocalonych biedaków, że to, co widzą przed sobą, nie jest wcale złudzeniem zmysłowem, ale najrzeczywistszą prawdą.

Jeden z młodych ludzi wziął na swe barki dziewczynkę, dwaj inni ujęli starca pod ramiona.

— Nazywam się John Ferrier — odpowiedział ocalony — ja i ta mała dziewczynka, którą widzicie przed sobą, to wszystko, co ocalało z 21 ludzi. Reszta zginęła marnie po drodze z południa.

— Czy to wasze dziecko — spytali ci, którzy sprowadzili go ze sobą.

— Tak! To moja jedynaczka — odpowiedział starzec dobitnie.—Zdołałem ją ocalić. Od dzisiejszego dnia nazywa się Lucy Ferrier, i nikt niema do niej prawa prócz mnie. Lecz coście wy za jedni? — pytał dalej, patrząc z niemałem zdziwieniem na męskie, ogorzałe od słońca oblicza swych wybawicieli — niezliczona was tu gromada, aż się roi poprostu.

— Prawie dziesięć tysięcy — odpowiedział jeden z młodych ludzi. — Jesteśmy prześladowanemi dziećmi Boga, wybrańcy anioła Merona!

— O nim nie słyszałem nigdy — odpowiedział starzec — no, wybrał sobie ten anioł wcale liczną gromadę.

— Nie drwinkuj sobie z rzeczy świętych — odparł surowo zapytany. — Widzisz przed sobą naród, który wierzy w objawione pisma, przekazane na złotych tablicach świętemu Józefowi Smithowi w Palmyrze. Świątynię zbudowaliśmy sobie w państwie Illinois w Nauvoo. Teraz opuściliśmy nasze domostwa, aby przed bezbożnymi i zdolnymi do gwałtu ludźmi nowych osad poszukać, nawet gdyby nam przyszło na pustyni zamieszkać.

Wzmianka o Nauvoo zda się zbudziła jakieś uśpione wspomnienie w sercu Johna Ferriera.

— Teraz już wiem — odparł po chwili — czyście wy nie mormoni?

— Tak jest — mormoni! mormoni! — odpowiedziała gromada jednogłośnie.

— A dokąd idziecie?

— Tego nie wiemy jeszcze sami. Ręka boska kieruje nami i prowadzi nas przez naszego proroka. Zaprowadzimy was przed niego; on zawyrokuje, co się z wami stanie.

Zeszli tymczasem z góry, gdzie skupiło się wielu podróżnych.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Wystawa przemysłowa w Tarnopolu.

Ruch około rozbudzenia rodzinnego przemysłu w naszym kraju, datuje się stosunkowo od niedawna, jednak już dzisiaj może się poszczycić pięknymi rezultatami. Uprzemysłowienie naszego kraju postępuje wprawdzie bardzo powoli, ale bądź co bądź postępuje z dniem każdym. Wyroby krajowe, zastępują coraz więcej tandetne fabrykaty zagraniczne. Publiczność szeroka zaczyna rozumieć, że obowiązkiem jej powinno być popieranie wyrobów swojskich, które, choć może nieco droższe, przewyższają jednak lichoty zagraniczne dobrocią, smakiem wykonania, jakością i trwałością. Najważniejszym środkiem do pobudzenia szerokich mas, aby się szczerzej zajęły krajowem wytwórstwem, są wystawy, stanowiące niejako zbiorowy przegląd postępu i rozwoju naszego przemysłu.



Wystawa przemysłowa w Tarnopolu: Prezes kraj. spółki stolarzy meblowych w Tarnopolu, adwokat dr. M. Parnass.

Taka wystawa przemysłowa odbyła się w ubiegłym tygodniu w Tarnopolu. Urządzeniem jej zajęło się tarnopolskie Tow. pomocy przemysłowej, na którego czele stoi niestrudzony w sprawie popierania swojskich wyrobów, dr. Mandl, oraz sekretarz Tow. inżynier Salz, który wraz z komitetem, złożonym z pp. prof. Medyńskiego, L. Bergera i Soleckiego, niemałe w tej sprawie położyli zasługi.

Wystawa tarnopolska, mieszcząca się w czterech salach tamtejszego stowarzyszenia „Gwiazda“, robiła na ogół wrażenie bardzo dodatnie. Komitet dał więcej, aniżeli zapowiadał i w tem leży największa jego zasługa. Pierwszą salę zajęła wystawa ruchoma wyrobów krajowych Ligi pomocy przemysłowej. Obejmuje ona blisko 60 wytwórców, samych najwybitniejszych firm. Dla kupców zwłaszcza, była to wystawa najbardziej interesująca, tam bowiem, w licznych próbkach wyrobów swojskich, mieli bardzo ładny pogląd na produkcyę krajową towarów, używanych w życiu codziennem. Ponadto w sali tej mieściła się wystawa stolarska Tow. stolarzy meblowych, istniejącego od lat trzech i subwencyonowanego przez ministerstwo handlu. Na illustracyi naszej widać dobrze dwa śliczne kredensy, jeden w stylu secesyi wyrobu Stangera, drugi z pracowni Silbermanna. Wystawa wyrobów introligatorskich p. Olezincera dopełniała wystawy w tym pokoju. W sąsiedniej ubikacyi pomieszczono wystawę kilimów z fabryki p. Mandlowej. W salce drugiej rozłożyła swe wyroby młódź miejska i wiejska; rozwój tego rodzaju przemysłu jest wyłączną zasługą inspektora szkoły p. Chmurowicza. W tej samej salce mieściła się również wystawa „białego szycia“ tarnopolskiej ochronki. Trzecią i czwartą salę zajęły wyroby Tow. stolarzy meblowych, wśród których wyróżniały się wspaniałe sypialnie w najczystszym stylu zakopiańskim wyrobu Weintrauba.

Obok portretów naczelnego dyrektora krajowej spółki stolarzy meblowych, p. Leona Bergera i prezesa tejże spółki, adwokata dra M. Parnassa, podajemy dziś widok domu „Gwiazdy“ w którym się mieściła wystawa, oraz zdjęcie z pierwszej sali wystawy. Oba te zdjęcia wykonał specyalnie dla naszego pisma p. L. Berger, amator-fotograf.

Zjazd urzędników podatkowych w Krakowie.

Nareszcie i urzędnicy fiskalni zabrali się energicznie do poprawy swego losu. W jednym z poprzednich numerów naszego pisma, poruszyliśmy już obszerniej tę sprawę, zamieszczając fotografię zjazdu podatkowców w Kołomyi i wyraziliśmy szczere zadowolenie z tego ruchu wśród urzędników podatkowych. Jesteśmy bowiem przekonani, że żądania podatkowców, na licznych podnoszone zjazdach, są najzupełniej usprawiedliwione, że więc urzędnicy podatkowi, wziąwszy się silnie za ręce, muszą wywalczyć ich spełnienie. Muszą, bo to są żądania ogółu urzędników, którzy nareszcie poznali, że siła ich leży w ich solidarności i dzisiaj solidarnie praw swych się domagają.

Kontynuacyą zjazdów poprzednich był zjazd urzędników podatkowych, jaki się odbył w ubiegłą sobotę i niedzielę w Krakowie. Wzięło w nim udział 100 przeszło delegatów z całej Galicyi. Cyfra to pokaźna, jeśli się zważy, że podatkowcy dopiero przed rokiem niespełna przebudzili się z sennej martwoty i na seryo zabrali do pracy. Świadczy ona najlepiej, że ruch, zdążający do poprawy bytu podatkowców, zagarnął już olbrzymie kręgi i objął cały ogół urzędniczy w tej dziedzinie administracyi państwowej.



Wystawa przemysłowa w Tarnopolu: Naczelny dyrektor kraj. spółki stolarzy meblowych w Tarnopolu Leon Berger.

Uczestnicy zjazdu krakowskiego zwiedzali przez sobotę i niedzielę rano pamiątki i zabytki Krakowa, popołudniu zaś odbyli w salach resursy urzędniczej zgromadzenie. Imieniem resursy powitał zjazd sekretarz skarbowy p. Patkiewicz, poczem imieniem komitetu wiecowego zagaił zebranie starszy kontrolor podatkowy p. Dominikowski z Krakowa. Z ramienia dyrekcyi skarbu wziął w zgromadzeniu udział starszy radca skarbowy p. Osada. Przewodniczył wiceprezes Tow. urzędników podatkowych, starszy oficyał p. Władysław Ślezakowski ze Lwowa.

Przedewszystkiem uchwalono wysłać do ministra skarbu dra Korytowskiego telegram dziękczynny za życzliwość, jaką minister otacza Towarzystwo, poczem p. Maurycy Reich, kontrolor podatkowy z Mielca, złożył sprawozdanie z ostatniego wiecu dolno-austryackich podatkowców i odczytał zapadłe tam uchwały, jednobrzmiące zresztą z żądaniami urzędników wszystkich krajów austryackich, dalej sprawozdanie z delegacyi podatkowców u ministra Korytowskiego, oraz z przebiegu walnego zgromadzenia Centralnego Związku austr. urzędników podatkowych, przy udziale 37 delegatów z całej monarchii.

P. Kisielka z Tarnopola uzasadnił kilka wniosków, najbardziej może aktualnych, zmierzających do poprawy bytu urzędników, p. Herbert z Wieliczki wniosek o polepszenie emerytur wdów i sierót po podatkowcach, p. Nowicki z Wiśnicza podniósł jednę z najbardziej piekących spraw, mianowicie potrzebę rewizyi ustaw podatkowych, stanowiących istny konglomerat, niesłychanie skomplikowany, różnych rozporządzeń, dodatków, dodatków do podatków itd., co utrudnia oryentacyę i urzędników i publiczności. Wszystkie wnioski przyjęto, poczem zamknięto wiec.

Na załączonej obok illustracyi podajemy grupę uczestników wspomnianego zjazdu, zebranych na dziedzińcu w gmachu starostwa krakowskiego.



Wystawa przemysłowa w Tarnopolu: Wnętrze pierwszej sali wystawy. (Fot. amat. L. Berger).

Włoska Modrzejewska.

Włosi stracili swoją Modrzejewską. Tem bowie dla nich — czem dla nas największa polska ar tystka dramatyczna, słynna na obu półkulach — była równie znakomita tragiczka, świeżo zmarł Adelajda Ristori. Pochodziła ona z rodziny z da wien dawna aktorskiej, a pradziad jej, wybitn aktor włoski, występował stale w nadwornym te trze królewskim w Warszawie w 18 ym wiek

Urodziła się Adelajda Ristori w 1821 r. i już dzieckiem występowała w teatrze. Pierwszy raz na rękach rodziców 2-miesięcznem dzieckiem, została zaprezentowaną publiczności ze sceny, na której od 4-go roku życia zaczęła grywać role dzieci, później podlotków, w pierwszorzędnych trupach wędrownych po miastach włoskich. Powodzenie miała wielkie od początku karyery aktorskiej zarówno w komedyi, jak w dramatach i tragedyach. Mając lat 26, w pełni rozwoju talentu, poślubiła margrabiego Capranica del Grillo i opuściła na jakiś czas scenę. Zdarzyło się jednak wkrótce, że grając na przedstawieniu, danem na cel dobroczynny, margrabina odniosła na scenie tryumf tak niebywały, że zwyciężył on wszelkie względy rodzinne. Zorganizowała więc własną trupę i jeździła z nią po całych Włoszech. W czasie bombardowania Rzymu w 1849 pielęgnowała jako siostra miłosierdzia rannych w szpitalach. Poczem znów rozpoczęła swe występy. Do najwspanialszych swych kreacyj zaliczała nieboszczka „Franciszkę z Rimini“, oraz podobnie jak Modrzejewska, „Maryę Stuart“, Lady „Macbeth“ itp. postaci w tragedyach. Z olbrzymiem powodzeniem występowała i



Fot. amat. L. Berger.

Wystawa przemysłowa w Tarnopolu: Wejście na wystawę w domu „Gwiazdy“.



Włoska Modrzejewska: Zmarła w 85 roku życia sławna tragiczka włoska, a jedna z największych artystek dramatycznych świata współczesnego Adelajda Ristori.



Zjazd urzędników podatkowych w Krakowie: Uczestnicy Zjazdu ugrupowani w dziedzińcu starostwa krakowskiego.

poza włoską ziemią w Hiszpanii, w Paryżu, gdzie trafiła na chwilę urazy publiczności francuskiej do słynnej aktorki Rachel i tem łatwiej odniosła zwycięstwo. W różnych czasach odwiedziła dwukrotnie Warszawę, którą zachowała we wdzięcznej pamięci i poświęciła jej entuzjastyczny ustęp w swych pamiętnikach. W ostatnich dziesiątkach lat cofnęła się staruszka w zacisze domowego ogniska, gdzie po doznanych tryumfach, pędziła życie skromne wśród swoich dzieci i wnuków. Z tych czasów właśnie pochodzi nasza fotografia wielkiej artystki.

Orkiestra kolejarzy.

W ostatnim dziesiątku lat powstały w naszym kraju liczne orkiestry towarzyskie. Dziś niemal wszystkie szkoły średnie i wydziałowe, tudzież olbrzymia część towarzystw patryotycznych, ma swoje doborowe orkiestry, produkujące się na różnych uroczystościach i pamiątkach narodowych. Nie pozostali w tyle i kolejarze. Prawie w każdem mieście posiadają już swoją muzykę, która nietylko że bierze udział w swoich własnych uroczystościach i festynach, i oddaje też ostatnią przysługę zmarłym kolejarzom, ale występuje również publicznie, nawet w innych miastach.

Do najmłodszych orkiestr kolejowych zalicza się orkiestra kongregacyi kolejarzy w Nowym Sączu, która właśnie w tych dniach święciła pierwszą rocznicę swego założenia. W ciągu krótkiego swego istnienia, występowała już dwukrotnie na odpuście w Tuchowie i na festynie w Nawojowej u hr. Stadnickiego, nie licząc bardzo wielu pogrzebów i festynów, w których brała udział. Pierwszym jej kapelmistrzem był młodziutki, a znany już muzyk, p. Maksymilian Firek. Rycina nasza przedstawia zdjętą w Nawojowej u hr. Stadnickiego grupę członków tej orkiestry kolejowej z Nowego Sącza, z obecnym. jej kapelmistrzem p. Kossowiczem pośrodku.



Orkiestra kolejarzy: Grupa członków orkiestry kongregacyi kolejarzy w Nowym Sączu, fotografowana na festynie u hr. Stadnickiego w Nawojowej; pośrodku kapelmistrz p. Kossowicz.

Wiec Izb lekarskich.

W ubiegły tydzień przez dwa dni odbywał s[ię] w Krakowie wiec austryackich Izb lekarskic[h]. Przybyli nań delegaci ze wszystkich prawie kra[] jów monarchii; grupę ich znajdą Czytelnicy w dz[i]siejszym numerze.

Obrady, którym przewodniczył prezes Izby le[]karskiej zachodnio-galicyjskiej, znany okulista profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Wicher[]kiewicz, trwały przez dwa dni, a odbywały si[ę] w wielkiej sali domu Towarzystwa lekarskiego przy ul. Radziwiłłowskiej. Gmach ten, to jede[n] z najpiękniejszych co do wewnętrznego urządze[]nia w Krakowie. Wystarczy wspomnieć, że stroną dekoracyjną zajął się Wyspiański, który dał wzc[]ry nie tylko do ogólnego urządzenia, ale do każ[]dego przedmiotu, jaki się tam znajduje, osobno. To też np. sala konferencyjna, ta właśnie, w któ[]rej odbywały się obrady delegatów, nie tylko pie[]ści oko harmonią, w jaką się wiążą wszystkie najdrobniejsze nawet szczególiki w architekturze i urządzeniu sali, ale tą nadzwyczajną prostotą i swo[j]skowością, jaką tchnie każde dzieło genialnego autora „Wesela“. Sala ta, której jedną część wida[ć] na załączonej obok illustracyi, przedstawiającej de[]legatów lekarzy podczas obrad, wywarła na wszy[]stkich silne wrażenie.

Obrady dotyczyły kilku bardzo ważnych kwe[]styj lekarskich, które szczegółowo omówiono. R[e]zultat obrad zjazdu przedstawia się bardzo dobrz[e]. Powzięto na nim bowiem szereg uchwał, które ta[k] dla publiczności, jak i dla lekarzy, mają niezw[y]kle doniosłe znaczenie.

Illustracye, jakie w dzisiejszym numerze [u]mieszczamy, przedstawiają: jedna grupę wszystkic[h] delegatów, przybyłych na wiec, a zebranych prze[d] Domem lekarskim, druga, delegatów, podczas [o]brad.

Samobójstwo żołnierza.

Przed kilku dniami zdarzył się w Bochni tragiczny wypadek w koszarach 57 pułku piechoty. Młody żołnierz, 22 letni „gefreiter“ Franciszek Wieczorek zadłużył się u kolegów do wysokości około 60 koron. Wierzyciele grozili mu, że jeżeli im nie zwróci wkrótce pieniędzy, doniosą o wszystkiem przełożonym. Wziął sobie to Wieczorek bardzo do serca, a nie miał sposobu oddania długów.



Wiec Izb lekarskich: Przed Domem lekarskim w Krakowie zebrani uczestnicy wiecu delegatów austryackich Izb lekarskich: 1. radca dworu, prof. dr. Wicherkiewicz, prezydent Izby lekarskiej zachodnio-galicyjskiej; 2. prymaryusz dr. Brenner, prezydent Izby morawskiej; 3. dr. Schoengut, wiceprez. Izby zachodnio-gali yjskiej; 4. dr. List, prezydent Izby dolno-austryackiej; 5. radca sanitarny dr. Festenburg, prezydent Izby wschodnio-galicyjskiej; 6. dr. Ruhestrot, prez. Izby śląskiej; 7. prof. dr. Juffinger, prez. Izby tyrolskiej; 8 docent dr. Evald, prez. Izby wiedeńskiej; 9. dr. Schlomicher, prez. Izby styryjskiej; 10. dr. Grün, delegat Izby wiedeńskiej; 11. prof. Heveroch, delegat Izby praskiej (sekcya czeska); 12. dr. Jaroschy, delegat Izby praskiej (sekcya niemiecka); 13. dr. Mathes, delegat Izby przedarulańskiej; 14. dr. Langie, sekretarz Izby zachodnio-galicyjskiej; 15. prof. dr. Ciechanowski, redaktor „Przeglądu lekarskiego“. (Fot. apar. red. „Now. Illustr.“ W. Lis w Krakowie).

Dnia 17 b. m. był rano na ćwiczeniach, popołudniu sprzedał cichaczem własne ubranie wojskowe, a wieczorem wrócił do koszar dopiero o 11-tej. Nabiwszy karabin, wziął go ze sobą pod kołdrę do łóżka i zasnął. Zbudziwszy się rano po 5 ej, dał każdemu z kolegów na sali po papierosie, poczem wskoczywszy z powrotem do łóżka, spytał: „Czy wszyscy palicie?“ Gdy mu odpowiedziano: „Wszyscy“, zawołał: „To ja sobie teraz zapalę“ i przyłożył karabin pod brodę. Rozległ się strzał. Kula przebiwszy usta i mózg, utkwiła w ścianie. Natychmiastowa pomoc lekarska na nic się już nie zdała. Nieszczęśliwy samobójca po parogodzinych męczarniach skonał przed ósmą rano. Przewieziono ciało denata do kostnicy na cmentarzu, gdzie jeden z naszych Czytelników dokonał zdjęcia fotograficznego, które podajemy obok w reprodukcyi.



Samobójstwo żołnierza: „Gefreiter“ 57 p. p. Franciszek Wieczorek, który w niezwykłych okolicznościach odebrał sobie życie w koszarach w Bochni.

W pogoni za niewierną żoną.

Jeszcze chyba żaden mąż nie odbył podróży po całym świecie w pogoni za niewierną żoną — tak, jak pewien generał rosyjski, który już od pół roku pędzi przez wszystkie kraje i nie może ująć swej małżonki, zbiegłej z kochankiem. Oto 6 maja jeszcze zniknęła z Petersburga pani Uczakow, żona generała, w towarzystwie jego adjutanta, kapitana Essipowa. Mąż wściekły z zazdrości, puścił się natychmiast w pogoń za zbiegami, przyrzekając zemstę okrutną. Równo w cztery miesiące od chwili ucieczki, para zakochanych przebiegła już 17 tysięcy kilometrów drogi lądem i morzem, a generał w pościgu za nimi, dał się zdystansować zaledwie o bagatelkę, został mianowicie w tyle jedynie 100 klm. Widziano po kolei uciekających i ścigającego w Berlinie, Londynie, Maderze, Genui, Lizbonie, Barcelonie, potem w Nowym Jorku i znowu z powrotem w Europie, bo w Londynie, aż wreszcie przed dwoma tygodniami wylądowała para kochanków w jednym z portów angielskich. Przez ten czas używali wszelkich możliwych środków lokomocyi, kolei i statków, a przedewszystkiem, gdzie się dało, samochodów, co wszystko razem kosztowało sumy bajeczne. Ale panią Uczakow stać na to: rozporządza milionową fortuną Nie wiadomo jednak, czy tak forsowna podróż dwojga zbiegów petersburskich nie będzie w dalszym ciągu zbyt kosztowną, gdyż, jak zapewnia jeden z reporterów angielskich, który gonił ich dla sfotografowania pary championów tego osobliwego rekordu — fundusze ich są na wyczerpaniu. Owemu reporterowi i my zawdzięczamy załączoną tu dziś fotografię. Odbył on z nimi nawet piekielną przejażdżkę na automobilu, kiedy generał już — już trafiał na ich ślady, przysięgając przed wszystkimi, że zabije oboje. Trafiało się to zaś biednemu mężowi najczęściej, że niemal dostawał już w ręce żonę i adjutanta, a w ostatniej chwili udało się im zawsze w porę czmychnąć. Anglicy i Amerykanie robią zakłady o to, czy generał dogoni zbiegów, to też tembardziej wobec wielkiego zainteresowania się publiczności tą bajeczną gonitwą, niby z powieści Juliusza Verne'a, prasa angielska śledzi przebieg awanturniczych przygód, reklamując je hałaśliwie.



W pogoni za niewierną żoną: Generałowa Uczakow z Petersburga z kapitanem Essipowem, za którymi już szósty miesiąc lądem i morzem po całym świecie, goni napróżno zdradzony małżonek.

Obywatel-patryota.

W swoich dobrach w Wicyniu zmarł w 55-tym roku życia zasłużony obywatel śp. Mirosław Eder. Śmierć jego przedwczesna wywołała w ziemi złoczowskiej żal powszechny, nieboszczyk bowiem, podobnie jak cała rodzina Ederów, był gorącym patryotą, człowiekiem rzadkiej uczynności zarówno dla włościan w swoich dobrach, jakoteż dla każdej sprawy, którą się zajął. Piastował on godność zastępcy prezesa Rady powiatowej w Złoczowie, oraz prezesa Sokoła złoczowskiego. Chociaż rozporządzał wielkim majątkiem, jako właściciel dóbr ziemskich, życie upływało mu nie na uciechach, lecz na twardej służbie obywatelskiej. Śp. Eder stawał zawsze w szeregu najpilniejszych i najdzielniejszych pracowników nad odrodzeniem Ojczyzny. Cześć pamięci prawego obywatela, którego życie powinnoby się stać przykładem do naśladowania dla innych obywateli naszego kraju.



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Lis w Krakowie.

Wiec Izb lekarskich: Delegaci Izb lekarskich, w czasie obrad swego wiecu w Krakowie, w sali Domu lekarskiego, przy ulicy Radziwiłłowskiej, (urządzonego wewnątrz według planów Stanisława Wyspiańskiego).

TOMASZ COBB.

Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

3 Ciąg dalszy.

— Czy pan stąd pochodzi?

— Nie, panie! Dwa lata służyłem w Londynie u pana pułkownika Hospinsa, Bergstreet, Mayfair. Miesiąc temu musiałem służbę porzucić, aby podreperować swe zdrowie. Prawdę powiedziawszy, chciałbym pozostać w tej zdrowej okolicy.

— Ja nie potrzebuję dla siebie usługi — odparł Owen — szukam ogrodnika, któryby starał się o ogród i pomagał przytem mej służbie.

— Zamiłowanie do ogrodnictwa jest moją drugą naturą — urodziłem się i wzrosłem na wsi.

— Czy zgodzi się pan spać w stajni? — Koni nie trzymam, mężczyźnie nie pozwalam jednak spać w domu.

— Ojciec mój był przy koniach — gdyby mi pan pozostawił do wyboru, wolałbym spać w stajni, wtedy zdaje mi się, że jestem w domu.

Po krótkiej naradzie co do wynagrodzenia, przyczem Bodger postawił nader skromne warunki, zapytał Owen:

— Świadectwa ma pan pewnie przy sobie?

— Pułkownik Hoskins wyjechał za granicę — odparł Bodger, przygotowany na podobne zapytanie — polecił wydać świadectwa swemu zarządcy, jeśli zatem zechce pan popytać się o mnie, dowie się pan jak najlepszych rzeczy.

Owen wziął papier i ołówek.

— Nazwisko pańskie?

— Wilhelm Sandes.

— Nazwisko i mieszkanie zarządcy?

— Pan Bodger — Józef Bodger mieszka Seyman-Street.

— Zwrócę się zatem do pana Bodgera — zakończył Owen rozmowę. Jeśli sprawa zostanie tam załatwiona po mojej myśli, możesz pan zgłosić się do mnie w przyszły poniedziałek. Gdzie mam pisać po pana?

— Niech pan adresuje do pana Jonesa, fryzyera i golarza, ulica Zachodnia nr. 3. O świadectwa jestem najzupełniej spokojny. Nikt nie może nic na mnie powiedzieć.

— Zawiadomię zatem pana, a w przyszły poniedziałek niech się pan zgłosi.

Bodger skłonił się pokornie przyszłemu chlebodawcy i powrócił najbliższym pociągiem do Londynu.

ROZDZIAŁ VI.

Doktór Viret.

Karyera doktora Viret zaczęła się zaraz w początku wspaniale. Już jako młody lekarz uchodził za jednego z najzdolniejszych chirurgów; mając lat 40 poślubił dziewczę młodsze od niego o lat 20 z górą, a kiedy miał lat 50, cieszył się ogólnem zaufaniem i powszechnym szacunkiem. Na wyżynie szczęścia stał właśnie, gdy fortuna odwróciła się od niego niespodziewanie, żona jego zachorowała nagle. Za radą lekarzy miała Anglię przed nadejściem zimy opuścić i udać się na Maderę. Początkowo nie mogła przyzwyczaić się doktorowa Viret do myśli, że rozstanie się ze swym mężem i córką. Dopiero gdy dr Viret przyrzekł jej, że córka pojedzie z nią także, zgodziła się opuścić gniazdko rodzinne.

Pewnego pięknego wieczora październikowego ściskał dr Viret po raz ostatni żonę i córkę i stał ze łzą w oku na brzegu, gdy „Prussia“ żeglowała na pełne morze.

W dwa dni później, kiedy siedział samotny przy śniadaniu, spostrzegł w dzienniku porannym następujący telegram:

„Straszny wypadek na wybrzeżu portugalskiem! Prussia rozbita! Przeszło 300 osób zginęło bez ratunku!“

Dr Viret zerwał się na równe nogi. Śniadania nie tknął nawet, chorzy czekali nadaremnie w przedpokoju. Dzień i noc jechał do Lizbony, spieszył bez wypoczynku ku skalistemu wybrzeżu, na którem miała Prussia wylądować.

Gdy okręt wjechał na rafy podwodne, znaczna część pasażerów była w swoich kabinach. Kapitan, zmylony mgłą i silnym prądem, sądził, że oddalony jest o 30 mil morskich od lądu. Gdy spostrzegł ostrzegające go światło, było już za późno. Wielu zginęło, nim zdołało wydostać się na pokład, a między garstką, która zdołała ocaleć, spotkał doktór Viret jednego przyjaciela, który mu opowiedział o ostatnich chwilach ukochanej jego żony i córki. Był on dzielnym i wytrwałym pływakiem, dlatego nie uląkł się groźnych fal i szybko wskoczył do morza. Wtem spostrzegł tuż koło siebie żonę dra Vireta wraz z córką, którą matka kurczowo trzymała. Chcąc przynajmniej córkę ocalić, usiłował wyrwać ją z objęć matczynych, gdy nagle ogromny bałwan uniósł ich w przeciwną stronę. Dzielny pływak sam utracił przytomność. Wreszcie cudem na brzeg wyrzucony, uszedł niechybnej już śmierci.

Po upływie kilku dni udało się doktorowi Viret po uciążliwem poszukiwaniu odnaleźć zwłoki tak drogich mu osób; na skale morskiej zatrzymały się matka i córka. Cóż pozostało mu teraz? Na pobliskim cmentarzu pochował żonę i córkę, potem wrócił do Londynu zupełnie złamany na duszy.

Od tej chwili zaprzestał dr Viret zajmować się leczeniem chorych. Wyrzekł się światowego blasku, sprzedał swój dom w Londynie i po długiej włóczędze bez planu, osiadł wreszcie w Rooksfield, w małym domku, nazwanym „dworkiem wawrzynowym“. Dobudował sobie następnie jeden skrzydło, i poświęcił się wyłącznie nauce. Prawie wbrew jego woli zwiększył nowy tryb życia jego sławę, gdyż najrozmaitsze odkrycia dokonywane teraz przez niego, wzbogacały ogromnie wiedzę medyczną, a tak strata ukochanych osób stała się tylko nowem błogosławieństwem ludzkości.

Długo żył tak osamotniony, aż pewnego pięknego poranku, podczas odwiedzin na plebanii, spotkał między innymi osobami, których nie znał dotąd zupełnie, także pannę Askew, energiczną choć starszą już damę. Panna Askew należała do licznych towarzystw, między innemi pracowała bardzo energicznie na polu agitacyi przeciw wiwisekcyi.

Skorzystawszy z przerwy w rozmowie, wyciągnęła panna Askew potężny zwój papieru z kieszeni, rozciągnęła go przed uczonym i bez niepotrzebnych jej zdaniem wstępów, poprosiła go, by zechciał się podpisać.

Pleban Daubney niemniej gorąco tej agitacyi oddany, przysunął się bliżej nieco ze swem krzesłem.

— Dlaczego prosi mnie pani o podpis — spytał dr Viret, domyślając się czegoś złego.

— Zamierzamy wnieść petycyę, aby położono raz wreszcie kres niepotrzebnemu dręczeniu bezbronnych zwierząt — odparła panna Askew. Spodziewam się, że nie odmówi nam pan swego podpisu.

Co się stało potem, można skreślić w paru słowach. Doktór Viret skoczył z przekleństwem na ustach i szybko uciekł z pokoju, nie żegnając się z nikim.

Wskutek tej sceny zerwał dr Viret wszelkie towarzyskie stosunki, a pleban Daubney, nazywał dom jego najzwyklejszym szlachtuzem.

Dr Viret posługiwał się niejednokrotnie wiwisekcyą, lecz czynił to jedynie dla nauki, miał też specyalne pozwolenie, lecz z drugiej strony znowu był niezwykłym miłośnikiem zwierząt. Konie jego daleko lepiej pielęgnowano niż sąsiadów, pies jego, czarny „Tygrys“, z góry świętego Bernarda, szedł za nim wszędzie, tylko nie do laboratoryum, do którego wstęp był wszystkim jak najsurowiej zakazany.

Droga, wijąca się malowniczo, wiodła ku innym domkom wioskowym; stajnie stały osobno w podworcu. Laboratoryum mieściło się w tyle domu mieszkalnego doktora, poznać go było łatwo po charakterystycznym zapachu chloroformu. Wielki stół operacyjny stał na środku sali, liczne dyplomy i odznaczenia wielu towarzystw uczonych zdobiły ściany, gołe zresztą. Od ściany do ściany biegły deski na wysokość rosłego mężczyzny, na których stały klatki z królikami, szczurami i świnkami morskiemi — jedne wyglądały zdrowo, inne były już martwe. Skrawki białego papieru, przyczepione do klatek, wskazywały przebieg eksperymentu. Pompy powietrzne, flaszki najrozmaitszej wielkości, szkiełka, mikroskopy pomysłu dra Viret, stanowiły urządzenie gmachu, w którym uczony właśnie tej samej środy, kiedy Bodger wstępował do służby u Fairforda, stał przy stole operacyjnym, trzymając skalpel jakiś w ręku, pochyliwszy się nad zdychającą świnką.

Gdy wyprostował się, poznać było można, że wielkością dorównywa Owenowi, choć był znacznie starszy od niego. Był nieco szczupły, o ruchach niezgrabnych, jak to jest zwykle u ludzi samotnych, stroniących od towarzystwa. Głowę miał prawie łysą, na samym czubku widniał jednak mały pęk włosów, podczas, gdy rude bokobrody zwisały mu aż poza kołnierz. Nos miał niekształtny, warga górna znacznie wystawała. Czy była pogoda czy nie, nosił zawsze jedno i to samo zniszczone czarne ubranie, stale na wszystkie guziki zapięte. Przeciw nagłej zmianie powietrza zabezpieczał się zwykle koszulą flanellową koloru szarego, a zwykła kamizelka sięgała aż po samą szyję. Jeżeli wspomniemy jeszcze o jego obuwiu, zrobionem według jego rysunków, wcale nie pięknem, lecz za to możliwie wygodnem, o niezwykle szerokim kapeluszu, wciśniętym silnie na czoło i o zwykłym kiju dębowym, którym posługiwał się jak laską, mamy już plastyczny obraz dra Viret, znanego dobrze ze spacerów wieczornych po drodze wioskowej.

Co dwa lata jeździł do grobu żony i córki; miesiącami całymi chodził potem milczący i ponury i znać było po nim, że w sercu jego szalała dzika, bezsilna rozpacz.

Skoro dr Brown prosił go osobiście o zajęcie się chorobą pani Derwent, przystał z dwóch powodów: po pierwsze opis przebiegu choroby zainteresował go już ogromnie, po drugie chora była matką Flory.

Niejedna rzecz uderzała go niezwykle. Jej piękne rysy, te włosy złociste, umysł pogodny zawsze i wesoły, zdrowy humor tryskający z tych oczek niebieskich, przedewszystkiem zaś jeden i ten sam wiek, przypominał uczonemu w osobie panny Flory jego biedną, zmarłą jedynaczkę. Podobnie piękna jak Flora, byłaby stała teraz przy nim, tuląc się do niego, jak dawniej, gdyby nie straszne przeznaczenie, okropny dopust boski.

Codziennie uzmysławiał sobie w tajemnicy, jakby wyglądała teraz jego córka, jakby rozrastała się na pociechę ojca. Pannę Derwent, urodzoną w tym samym miesiącu, co jego Elza, przedstawiał sobie jako jej siostrę bliźnianą, w niej podziwiał piękność swej Elzy, patrząc na nią z zachwyceniem od lat najniższych, dziecięcych, aż do chwili, kiedy z obiecującego pączka zakwitła piękna róża.

Mimo to upływały lata, a on słowa do Flory nie mówił, choć sąsiadowali tak blisko w Rookfield, nie zdradził się najdrobniejszą słabostką, że panna Derwent zajmuje wcale niepoślednie miejsce w jego sercu. Dopiero gdy wyżej wspomniane okoliczności zbliżyły go bezpośrednio do rodziny Derwentów, wyszły na jaw uczucia tak długo kryjące się na dnie jego duszy, zogniskowały się teraz, aby się stać celem jego złamanego życia.

Punkt 12 wchodził codziennie do pokoju pana Derwenta.

— Rozumie się, niema nowych wiadomości dotąd? — pytał zazwyczaj, ściskając serdecznie Florę za rękę.

— Niema! Czy zdołamy się kiedykolwiek dowiedzieć prawdy? Inspektor Holt radzi mi wytrwać, ale serce moje za bardzo rozpacza, abym mogła spodziewać się szczęśliwego wyniku tej tajemniczej i bolesnej tragedyi.

— Byłoby to rzeczą bez pożytku — moje dziecko i niebezpieczną równocześnie. Każdy, ktokolwiek napawa serce bliźniego nadzieją nieprawdopodobną, błądzi najlepiej przyjąć najgorsze i śmiało spojrzeć w przyszłość.

— To okropne — panie doktorze — łkała biedna dziewczyna — znajduję się w tak przykrem i niepewnem usposobieniu, że z rozpaczy gotowabym się źdźbła słomy uchwycić — nie mogę spodziewać się szczęśliwego końca, a z drugiej strony trudno mi wyrzec się nadziei. Cały wczorajszy dzień łamałam sobie głowę, bo chciałam znaleźć jakiś punkt oparcia, bo spodziewałam się, że znajdę raz wreszcie rozwiązanie tej strasznej zagadki.

— Tego powinna pani unikać! — Wiem, że spotkało panią nieszczęście jedno z najgorszych, jakie spaść mogą na nas — lecz czas jest najlepszym lekarzem, on smutek twój dziecię ukoi, wyzdrowi z tej okropnej rozpaczy, w jakiej się targasz teraz — niema bólu tak wielkiego, żeby go czas nie mógł ukoić. Staraj się zapomnieć o wszystkiem, z zapomnieniem widzisz opada nas bowiem pewnego rodzaju martwota. Wielki Boże! — zawołał z goryczą w głosie. — Ty wiesz najlepiej, ile ja znieść musiałem! Ty patrzałeś na wszystko! Gdyby ma Elza żyła, byłaby w tym samym wieku, co pani; lecz jej przeznaczono umrzeć tak młodo, zdala od rodzinnego ogniska, na skalnem wybrzeżu. Lecz co do pani — panno Floro — to jestem prawie przekonany, że znajdzie pani kogoś, który będzie umiał ukoić tę wielką rozpacz. Toż się życie uśmiecha dopiero do pani!

— Nie wiem, co mnie czeka w przyszłości,

wiem tylko tyle, że położenie, w jakiem się teraz znajduję, jest conajmniej rozpaczliwe!

— Pozostanie też takiem wyłącznie, jak długo rozważać będzie pani nieszczęście. Lecz rozgadałem się o uczuciach a chciałem porozmawiać z panią o rzeczach praktycznych — nie pragnę wcale mieszać się w jej sprawy prywatne, gdyż wiem to po sobie najlepiej, że niema gorszej i przykrzejszej rzeczy jak wtykanie nosa osób obcych w nasze sprawy prywatne. Tem trudniej się ich pozbyć, im lepsze mają zamiary. Ponieważ jednak poznałem za sprawą pani i stosunki familijne jej ojca, muszę przyznać otwarcie, że pojąć mi trudno, jak mógł człowiek tak sławny, który w życiu swojem tyle wspaniałych dzieł napisał, którego sława rozeszła się daleko poza Anglią nawet — zebrać tak mały kapitał, w dodatku przy stosunkowo oszczędnem życiu. Nie miałem zresztą zamiaru mówić tu o ojcu, ile o tym smutnym fakcie jedynie, że dostanie pani w spadku prawie że nic.

— Nie jest znów tak źle — jak pan opowiada, panie doktorze — pozostała wystarczająca suma!

— Dyabelnie mała!

— Sama sobie zarobię prócz tego.

— W jaki sposób — jestem ogromnie ciekawy.

— Umiem pracować.

— Głupstwo! Pani sama nie wierzy w to, panno Floro.

Panna Derwent wzniosła ku niemu błagalnie swe łagodne, modre oczęta.

— Panie doktorze, niech mi pan nie odbiera tej resztki odwagi, jaka pozostała jeszcze we mnie. Stanowczo muszę się o jakąś pracę postarać. Prawdopodobnie zaproponuje mi Arnold, abym pozostała w domu. Nie mogę się na to zgodzić z rozmaitych powodów, w każdym razie cenię ogromnie mą niezależność.

— Niezależność! Niezależność! Jakżeż czczem jest to słowo w ustach kobiety!

— Nie pojmuję, dlaczegoby kobieta nie mogła urządzić sobie życia podobnie niezawiśle jak mężczyzna — odparła poważnie.

— Tak! Pewne kobiety, to prawda, ale nie słabe dziewczę w rodzaju pani! Dąb nie potrzebuje podparcia, bluszcz żyje tylko przy jego pomocy, a mimo to nikt nie weźmie mu tego za złe. Idzie drogą, wytkniętą mu przez naturę. Że jedna kobieta wyjątkowo zrodzona na amazonkę, znajduje się zaraz cała masa jej koleżanek, które twierdzą, że i one to samo potrafią — moja Elza nie była amazonką, pani również nią nie jest.

— Ma mię pan zatem, panie doktorze, za istotę nieudolną do samoistnego życia, pozbawioną zupełnie samodzielności, podobnie jak powój? — zapytała z lekkim wyrzutem.

— Niejedna z kobiet natchnęła swego rycerza odwagą i męstwem, a jednak sama nie wyszła do boju. Ba! — dodał po chwili — zaczynam stawać się śmiesznym — jedna wada jest właściwą wszystkim kobietom — oto starają się uporczywie pozostać przy swem zdaniu!

— Wie pan przecież dobrze, panie doktorze, że braku samodzielności nie mógł mi nikt dotąd zarzucić. A gdybym tak stąd naprzykład odeszła...

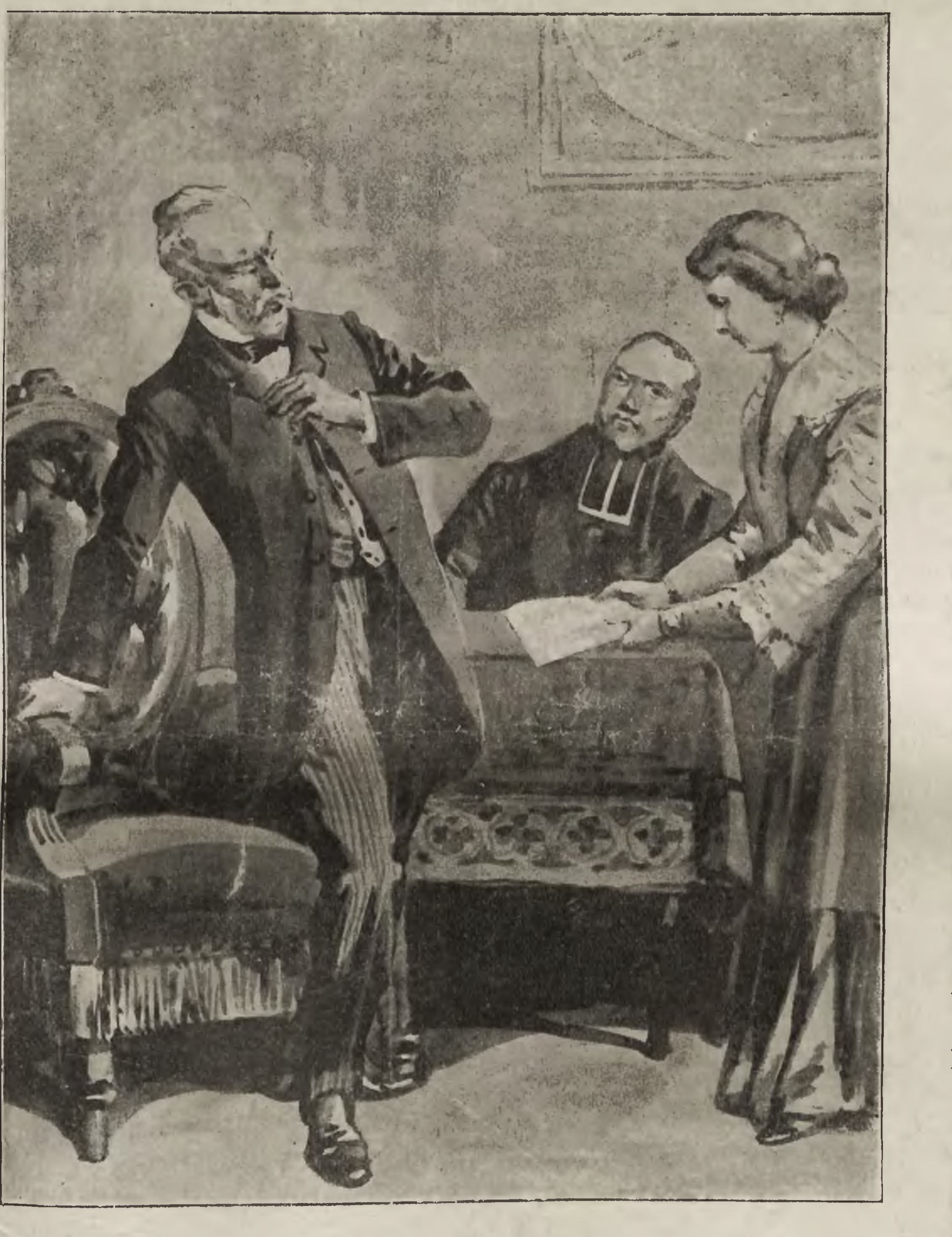
— Pani musi opuścić dom rodzicielski — innej rady nie widzę.

— Zastanów się pan tylko, panie doktorze — od mego urodzenia mieszkam tu bez przerwy, w tym cichym, starodawnym domu. Dla fantazyi nie opuszczę go nigdy, gdyż nie mogę nawet przypuścić, abym umiała sobie znaleźć drugą ojczyznę.

— Postaram się o małą pociechę dla pani — odpowiedział dr Viret. — Czyż ludzie nie są podobni do nędznych ślimaków, noszących na plecach swe domki? Coby pani powiedziała na to, gdybym oddał mój dom na jej usługi. Pleban nazywa go wprawdzie szlachtuzem, lecz idę w zakład, że uratowałem tysiąc razy więcej ludzkich żywotów, niż on zbłąkanych duszyczek. Jeśli królik wejdzie mi w drogę, pozbawiam go czucia; dostanie się znów w okolicę pałacu pułkownika Askewa, ginie w pułapce bez celu. Niedawno widziałem, jak niesiono ryby zahaczone na wędkach do plebanii. Więc oburzył się we mnie uczony, który poświęca biedne zwierzę dla nauki jedynie, jednak przez garstkę ciemnych za rzeźnika uchodzi. Zdaje mi się, że i ojciec pani nie miał o mnie lepszego zdania od innych.

— Dla mnie pozostaniesz pan na zawsze najzacniejszym człowiekiem, jakich kiedykolwiek znałam — odparła panna Derwent głosem łagodnym.

— Proszę! Tylko bez czczej gadaniny! — odpowiedział dr Viret — starając się podwójną szorstkością zgnieść w sobie rozrzewnienie, jakie go opanowało mimowoli. — Nie lubię czegoś podobnego, co we mnie najlepszego, tem gardzą prawie wszyscy. Czy zna pani słowa Tennysona: „Wybacz wszystko, cokolwiek dobrze o mnie świadczy“! Wie pani, co chciałem przez to wyrazić? Oto, że wszystko, co ludzie uważają za rzecz dobrą, jest zdaniem mojem maską, najzwyklejszą maską, służącą do ukrycia naszych błędów i ułomności. Lecz wracam do rzeczy. Tutaj całe otoczenie przypomina pani okropną stratę, jaką pani poniosła — zwolna straci pani przez to zdrowie — najlepiej byłoby przenieść się zaraz do mego pałacu!



— Dlaczego prosi mnie pani o podpis?

Niema rzeczy, którаby głębiej wstrząsnęła szlachetną duszą, jak wyrazy uczciwej a nieoczekiwanej dobroci. Propozycya doktora zaskoczyła ją niespodzianie, chociaż ten niezgrabny, osamotniony odludek, znany jej od paru miesięcy zaledwie, którego charakter przedstawiła jej panna Askew w tak niekorzystnem dla niego świetle, był dla niej zawsze prawdziwie czułym i kochającym ojcem. Dr Viret nie tylko nie odstępował prawie od łoża konającej matki, lecz spieszył zawsze ciężko złamanemu Derwentowi z pomocą duchową, pocieszając go i dając na każdym kroku dowody prawdziwego współczucia — co więcej wspomagał ją czynnie od owego strasznego wtorku, starając się życie jej uromaicić jakoś i rozweselić ją bodaj na chwilę.

Skoro adwokat jej ojca zauważył, że pożądaną rzeczą byłoby rozpisanie nagrody, dr Viret był pierwszym, który plan ten w czyn wprowadził; kiedy zaś doszło do jego wiadomości, że osierocona Flora nie ma prawa podejmować pieniędzy z banku, przyniósł jej swoją własną książeczkę czekową, prosząc z niemałem zakłopotaniem, aby uważała ją za swoją własną, jak długo tylko zechce. Teraz znów zaprasza ją do swego pałacyku.

— Na Boga! Niech pani tylko nie płacze, panno Floro, nie mogę znieść tego. Nie pozostaje pani nic innego, jak spakować swój kufer i kazać przenieść go do mnie. Jesteś panią mego domu, a jeśli ma to pani ułatwić rozłąkę z jej domem starodawnym, to niechże weźmie pani bez wahania również i starą służbę. Niech pani powie tylko: „tak“, a sprawa będzie natychmiast załatwiona.

— Niech mi pan pozwoli zastanowić się jeszcze nad tem — nie chcę, aby mnie pan doktór miał za niewdzięcznicę, nie, bo nią nie jestem — dzisiaj jednak nie mogę dać jeszcze stanowczej odpowiedzi.

— Skoro pani nie chcę, cóż ja na to poradzę? — odparł nieco zgryźliwie — dajmy temu pokój na razie. Nie chcę pani zmuszać do tego — co powiedziałem, tego nie cofam — dom mój oddaje pani na usługi. Jeszcze jedno, nim odejdę: Czy w istocie nie mogę pani w niczem pomódz?

— Chciałam prosić właśnie o radę pana doktora w sprawie Anny — odparła Flora — od pogrzebu mej matki leży chora, dziś uparła się, by powrócić do dawnej pracy. Zdziwił mnie jej wygląd — musi być bardzo cierpiącą!

— Niech pani zaraz Annę przywoła, chciałbym zobaczyć, na co cierpi.

— Zdaje się, że Anna nie da się namówić — odparła panna Derwent — jeśli mam wyznać szczerą prawdę, panie doktorze, to wierna Anna nie prędko panu daruje pańskie rozporządzenie.

Viret patrzał na Florę z wyrazem najwyższego zdziwienia.

— Anna? Mnie? Cóż jej takiego zrobiłem? O ile wiem, Anna nie zna mnie przecież zupełnie.

— Prosiłeś pan mego ojca o zastąpienie Anny inną dozorczynią przy łożu mej matki.

— Ponieważ wyszkolone dozorczynie londyńskich szpitali mogły życie twej matki conajmniej o dwa tygodnie przedłużyć — odparł szybko Viret.

— Możliwe! Dla Anny było to nowe postanowienie czemś wysoce przykrem. Nigdy nie widziałam jej w takim gniewie, jak wtedy, gdy jej ojciec oznajmił to wszystko. Posunęła się do nieposłuszeństwa nawet, zachowanie jej stało się okropne, a trudno powtórzyć jak się wyrażała o panu, panie doktorze.

— Niech pani zechce Annie oznajmić, że nie pierwej wyjdę od was, aż się dowiem, co jej właściwie brakuje — zadecydował doktór.

Flora pospieszyła do Anny. Znalazła ją samą w pokoju.

Anna Thursday była u pani Derwent jeszcze przed jej zamążpójściem. Pannę Florę nosiła na rękach i pieściła jak własną, później była przeznaczoną dla matki i córki. Anna była już starą kobietą a ciemne i zwiędłe oblicze tej suchej, skurczonej postaci pozwalało wnioskować, że w żyłach jej płynie krew afrykańska. Czarna suknia wełniana zwisała niedbale z wychudłego szkieletu, srebrne pierścienie widniały w jej uszach. Pani swej oddana całem sercem, pielęgnowała ją wprawdzie niewolniczo, starając się spełniać jej rozkazy natychmiast, mimo to jednak czyniła to wszystko tak niezgrabnie, że doktór Viret czuł się zmuszony zmienić dozorczynię przy chorej.

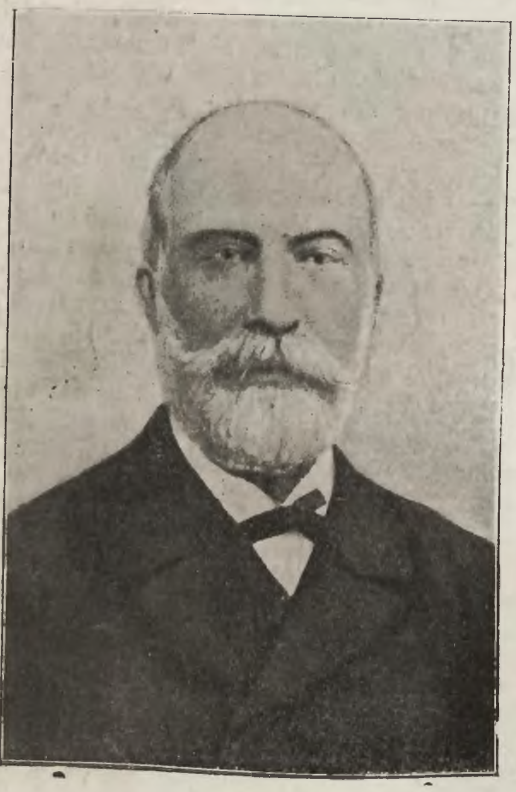
— Nie potrzebuję doktora zupełnie — mruczała leżąc Anna, gdy Flora starała się nakłonić ją do pokazania się doktorowi. — On był zawsze szorstki i opryskliwy. Takim pozostanie już zawsze. Niema iskry litości w jego sercu, dlatego zupełną racyę mają ludzie, przezywając go rzeźnikiem, aczkolwiek wielu z tych krzykaczy podobnych do niego zupełnie.

— Pogniewam się Anno na ciebie, jeśli będziesz mówiła tak nierozsądnie — upomniała ją Flora.

— Panno Floro! Tylko niech pani tego nie mówi! On i ojciec panienki byli względem mnie tak nielitościwi, że nie zapomnę im tego nigdy. Ale niechciałabym znowu czynić najmniejszej przykrości panience, mojej pieszczotce, którą na rękach nosiłam, wszystko, wszystko już zrobię, niech tylko panienka rozkaże. (C. d. n.)

Zmiana gabinetu we Francyi.

Dotychczasowy prezydent ministrów we Francyi Sarrien ustąpił nagle, a z nim podało się do dymisyi całe ministeryum. Nie oczekiwano tego rodzaju rozwiązania przesilenia, spodziewano się



Zmiana gabinetu we Francyi: Ustępujący prezydent ministrów francuskich, Sarrien.

bowiem, że ustąpienie Sarriena spowoduje tylko zmianę prezydyum oraz ministra sprawiedliwości. Było to tem prawdopodobniejsze, iż gabinet posiadał zaufanie większości Izby i usunięcie się Sarriena nie było wywołane względami politycznemi. Stało się inaczej i zgodnie z rozpowszechnionem zdaniem, iż człowiek o tak wyraźnie zarysowanej fizyognomii politycznej, jak dawny redaktor dziennika „Aurore“ Jerzy Clemenceau, zapragnie nadać gabinetowi, na którego czele ma stać, oblicze bardziej odpowiadające jego ideom i kierunkowi. Dymisyę więc całego gabinetu należy uważać jako rozwiązanie rąk przyszłemu gabinetowi. Korzystając z tego kryzysu usuwa się z gabinetu Bourgeois, zostaną zaś podobno nadal ministrowie Briand, Ruan i Doumergue. Clemenceau, jak słychać, ma oprócz prezydyum objąć tekę wojny w miejsce Etiennesa, a powołać do swego gabinetu dawnych przyjaciół i współpracowników redakcyjnych, Piquarda i Vivianiego: pierwszy ma być ministrem spraw zagranicznych, drugi obejmie tekę sprawiedliwości lub handlu.

Rzecz charakterystyczna, że na czele nowego rządu we Francyi staje publicysta, o którym Czytelnicy, zajmujący się bliżej polityką światową, muszą pamiętać zapewne, iż uchodził on za groźnego „obalacza gabinetów“ i istotnie obalił już wielu ministrów, przyczyniając się często najbardziej do upadku tego lub owego gabinetu. Ostatecznie i Sarrien ustąpił poniekąd przez Jerzego Clemenceau, który dziś po nim objął ster rządów w Paryżu

Bandyci na Nalewkach.

Przed tygodniem dzielnica żydowska w Warszawie, Nalewki i Nowolipie, była widownią prawdziwej walki bandytów z wojskiem, w następstwie takiego oto wydarzenia:

Przed południem inkasent zarządu tramwajowego p. Migdalski, przewoził z remizy do głównej kasy 2000 rubli, jadąc tramwajem w towarzystwie dwóch jeszcze funkcyonaryuszów kolei konnej. W ulicy Swiętojerskiej podbiegło do wozu na przystanku 20 młodych ludzi z rewolwerami w ręku. Zwrócili się odrazu do Migdalskiego, żądając pieniędzy. Grożąc bronią, odebrali dwie torby skórzane z pieniędzmi, a funkcyonaryuszów tramwajowych, stających w obronie inkasenta, ogłuszali uderzeniem rękojeścią rewolweru po głowie. Z łupem rozbiegli się. Dwaj wpadli na Nowolipki, a wtedy policyant koło bazaru miejskiego, słysząc alarm, strzelił do uciekających, na co jeden z bandytów porzucił ciężką torbę z pieniędzmi, drugiego zaś przychwycił goniący policyant mimo strzałów i odebrał drugą torbę. Wojsko z przed koszar bliskich dało salwę w stronę Nalewek. Inni bandyci



Zmiana gabinetu we Francyi: Następca Sarriena, nowy prezydent ministrów, Jerzy Clemenceau.

wówczas wpadli do bramy domu pod l. 2 przy Nowolipkach i zatarasowali się tam, strzelając z rewolwerów do oblegającego dom ten wojska. Ostrzeliwanie kamienicy z karabinów, trwało długo i dopiero po 100 strzałaah, żołnierze wkroczyli na podwórze, by ująć rannych bandytów. Broniących się wojsko dobiło bagnetami. Strzelanina długo-



Bandyci na Nalewkach: Napad 20 bandytów uzbrojonych na Świętojerskiej w Warszawie na inkasenta zarządu tramwaju Migdalskiego, w następstwie czego od kul rewolwerowych i karabinowych padło kilkunastu rannych i kilku zabitych.

trwała na Nalewkach za sobą liczne ofiary w zabitych i ciężko rannych, oraz postrzelonych przypadkiem przechodniów. Szyby w całym domu wytłuczone.



Mistrz atletów i jego uczniowie: Stanisław Cyganiewicz-Zbyszko, uczeń Pytlasińskiego.

Mistrz atletów i jego uczniowie.

Do niedawna postrachem wszystkich atletów występujących publicznie, był głośny mistrz zapaśnictwa, Władysław Pytlasiński. Walczył on we wszystkich metropoliach światowych i wszędzie zbierał laury, kładąc nawet najgłośniejszych przeciwników. Znano go wszędzie i podziwiano, zachwycano się jego genialnie spokojnym, klasycznym sposobem walki. Przed kilku laty Pytlasiński usunął się od walk i założył w Moskwie szkołę zapaśniczą. Jak znakomitym jest on nauczycielem trudnej sztuki zapaśnictwa, tego najlepszym dowodem są dwaj jego uczniowie, dzisiaj już europejską cieszący się sławą, Cyganiewicz-Zbyszko i Lurich. Zbyszko przyćmił nawet swego mistrza, od którego przejął metodę walki, a wsparłszy ją inteligencyą, jaką żaden z atletów poszczycić się nie może, stał się prawie niezwyciężonym. Klasycznie piękną walką Luricha mieli już sposobność zachwycać się Krakowianie i Warszawianie, nie wiedząc zapewne o tem, że to w znacznej części zasługa mistrza Pytlasińskiego.

W ciągu ubiegłego lata Cyganiewicz walczył w Petersburgu i Moskwie, uzyskawszy tam w trzech szampionatach pierwszą nagrodę. Jak pisze w liście do naszej redakcyi, „największą robotę miał z olbrzymim Turkiem Nourlą i z kozakiem Poddubnym“. Ostatnio walczył w Budapeszcie, gdzie był Pytlasiński i Lurich. Pytlasiński usunął się od konkursu, Lurich wziął pierwszą nagrodę, a Cyganiewicz trzecią. Obecnie mistrz razem ze swoimi uczniami wyjechał do Paryża, gdzie wszyscy trzej staną do międzynarodowych zapasów w „Casino de Paris“. Walki zaczynają się dnia 25 bm. Pytlasiński pisze do nas, że spodziewa się, iż „prawdopodobnie obaj moi uczniowie i Cyganiewicz i Lurich, zajmą pierwsze miejsce w konkursie“.

Zamieszczamy obok portrety tych najsłynniejszych zapaśników, którymi się wszyscy interesują. Nie wątpimy, że i w Paryżu, w walkach międzynarodowych, Cyganiewicz i Pytlasiński zyskają nowe laury. Nie braknie ich też zapewne i Lurichowi.

Zagadkowe zabójstwo.

Dwóch nieznanych młodych mężczyzn wpadło do mieszkania pp. Kamińskich przy ul. Kolejowej w Warszawie i pięciu strzałami rewolwerowymi położyło trupem syna gospodarza, Karola Kamińskiego. Ojciec na odgłos strzałów podbiegł ku zabójcom, ci jednak ze słowami „tak się robi ze szpiclami“, zatrzasnęli drzwi i wypadli z domu na ulicę. Zabity był znanym jako dobry cyklista; dwukrotnie zdobył w Warszawie wielką nagrodę za 100-wiorstowy wyścig szosowy i posiadał dyplom na mistrza jazdy na Królestwo. Przed dwoma tygodniami upadł nieszczęśliwie na torze wyścigowym, koledzy odnieśli go bezprzytomnego do izby jeźdźców, skąd po opatrunku zjawił się powtórnie na starcie z obandażowaną nogą i ręką. Ową chwilę niedawnego wypadku sportowca, przedstawia nasza fotografia. Dzienniki stwierdzają z powodu jego śmierci, że koledzy



Zagadkowe zabójstwo: Zamordowany 19 bm. w Warszawie z tajemniczych pobudek, znany cyklista śp. Karol Kamiński, „mistrz jazdy na Królestwo Polskie“. (Fotografowany przez St. Marynowskiego 30 z. m. w czasie nieszczęśliwego wypadku na torze wyścigowym, gdy wraca do startu w bandażach).



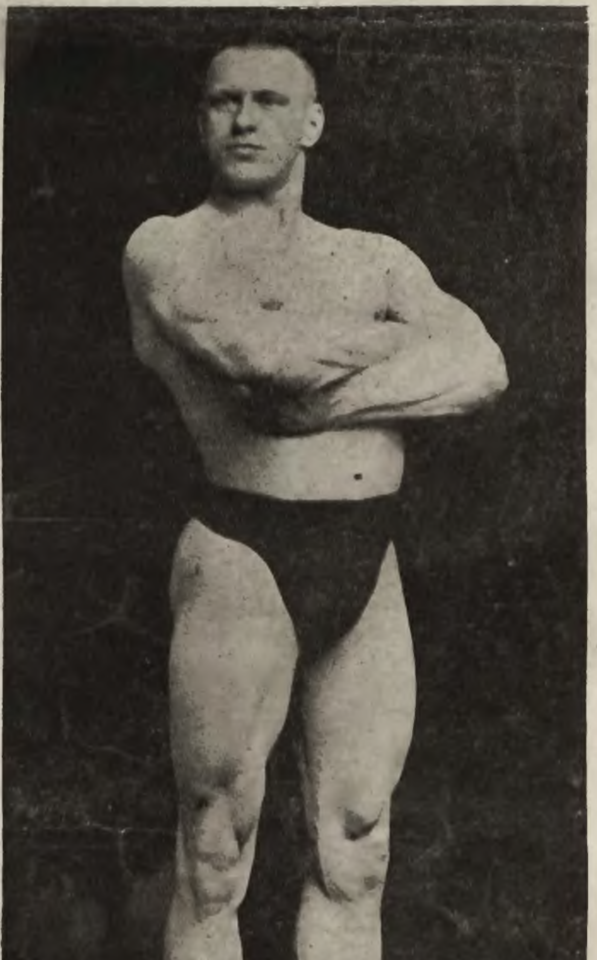
Mistrz atletów i jego uczniowie: Mistrz Władysław Pytlasiński.

sportowi nie znali go bliżej; w ostatnim czasie podobno nie miał Kamiński stałego zajęcia.

Ale na Dynasach zapewniają, że zabójstwo jego nie miało pobudek politycznych — lecz przyczyny należy szukać w zemście osobistej — o kobietę. Kilka razy przed śmiercią powtarzał Kamiński, że łączą go bliższe stosunki z pewną panną, której poprzedni narzeczony, pałając zazdrością, poprzysiągł rywalowi śmierć. Śledztwo nie wykryło dotychczas zabójców.

Pogrom na wyścigach.

Niebywałe w dziejach sportu konnego rozruchy tłumów zdarzyły się w poprzednią niedzielę podczas wyścigów w Longchamps pod Paryżem. Powodem rozruchów miał być zły start w „Handicape libre“, trzecim z rzędu biegu. Nie trzeba było więcej, ażeby doprowadzić do wściekłości część publiki. Kiedy podnoszono taśmy „starting-gate“, ażeby puścić konie, paru jockeyów przedwcześnie ruszyło z miejsca. Przyrząd nie funkcyonował dokładnie. Wielu jeźdźców sądziło, że start jest fałszywy i ci wstrzymali swe konie, gdy inni, słysząc sygnał rozpoczęcia biegu, ruszyli w drogę



Mistrz atletów i jego uczniowie: Jerzy Lurich, uczeń Pytlasińskiego.

Podniosły się protesty, zwłaszcza, że konie najsilniej obstawione w zakładach, wycofano z biegu. Wygrał koń, którego zwycięstwo uszczęśliwiło tylko niewielu. „Zwrócić stawki“ — wołano, lecz komisya orzekła, że wszystko jest w porządku. Wtedy tłum dał straszną odpowiedź. Tor w jednej chwili zabarykadowano krzesłami, ciskanemi z trybun, rzucono się na wagę, tam jednak zdołano tylko wyłamać część sztachet a po tym bezskutecznym ataku, pooblewano benzyną, wydobytą ze stojących w pobliżu samochodów, drewniane pawilony zakładów, podpalono je i obrócono w perzynę. Daremne było wzywanie na pomoc nielicznej policyi. Zbuntowany tłum, przypuścił szturm na kasy, pobił urzędników i ogołocił ich z przechowanych pieniędzy. A kieszonkowcy hulali tymczasem wśród przerażonej publiczności, wydzierając omdlewającym kobietom portmonetki, woreczki, zrywając z palców pierścionki. Cała banda specyalistów opanowała hipodrom. Przybyła wreszcie wezwana telefonicznie pomoc z prefektem policyi na czele. Plac wyścigowy udało się w końcu, nie bez trudności, opróżnić. Wyrządzone szkody obliczają na ćwierć miliona franków.

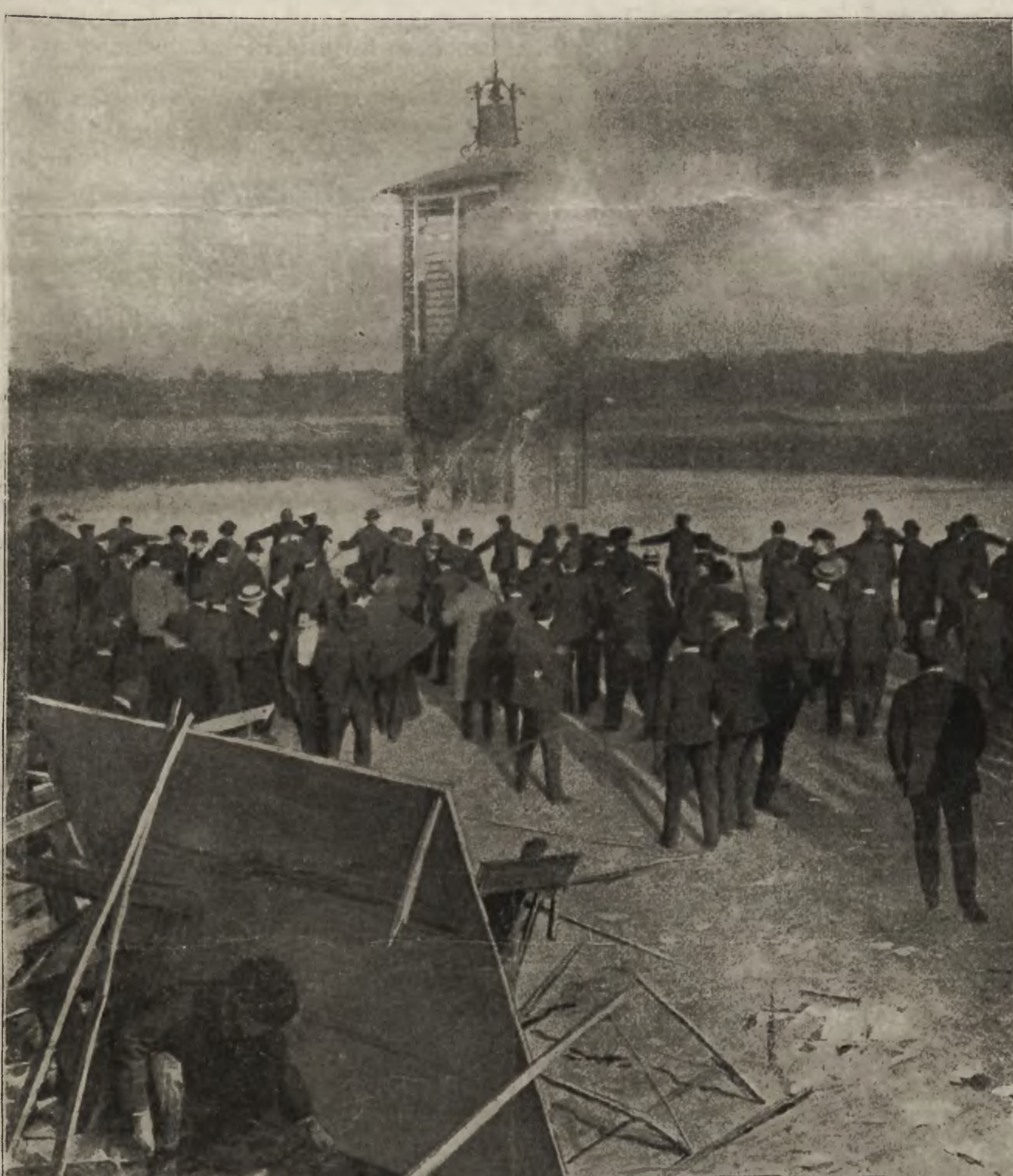
Honorowy obywatel Lwowa.

Najwyższem, najzaszczytniejszem odznaczeniem, jakiem rozporządzają nasze miasta, gdy chcą uczcić zasłużonych swych obywateli, jest honorowe obywatelstwo. Odznaczenie takie ofiarowało w ubiegłym tygodniu miasto Lwów dr. Władysławowi Łozińskiemu, który od lat czterdziestu przebywając w tem mieście, odegrał w życiu jego umysłowem wybitną rolę jako literat, publicysta, historyk, zbieracz pamiątek narodowych, członek naukowych towarzystw. W pomnikowych swych dziełach, (czytamy w odnośnej uchwale Rady miejskiej lwowskiej), jak „Złotnictwo lwowskie“, „Patrycyat i mieszczaństwo lwowskie“, „Sztuka lwowska z XVI i XVII wieku“, odsłonił świetne, a przed nim nieznane karty dziejów Lwowa, rozbudził zamiłowanie do jego pamiątek, sławę jego poniósł na wszystkie krańce Polski, a jako konserwator, zbieracz pamiątek, ocalił od zagłady wiele świadków lepszej przeszłości i zachował je na pamiątkę przyszłym pokoleniom. Dziełami swemi podniósł dumę mieszczaństwa lwowskiego, jego samowiedzę i ozłocił ją rycerskiem wspomnieniem poświęcenia i chlubnych czynów dla Ojczyzny, on zmarłe obudził echa i płomiennemi literami skreślił wielką chwałę i potęgę ducha mieszczaństwa, wskazując mu drogę na przyszłość śladami przeszłości. Książki Łozińskiego o Lwowie, to nie tylko prace naukowe, historyczne, ale to przedewszystkiem gorące umiłowanie naszego grodu, to obraz, który wielki mistrz słowa i myśli rzucił, olśniewając nim swoje pokolenie i do miłości własnego gniazda je wiodąc.



Pogrom na wyścigach: Widok toru wyścigowego w Longchamps pod Paryżem podczas zniszczenia, sprawionego przez niezadowolone tłumy.

Dr Władysław Łoziński, urodzony 1843 r. w Oparach w Samborszczyźnie, ukończył gimnazyum w Samborze, a następnie wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego. Już jako akademik rozpoczął pracę literacką, drukując swe utwory — przeważnie belletrystyczne — w pismach „Hasło“, „Gazeta Narodowa“, „Dziennik Literacki“. Po ukończeniu studyów oddał się w zupełności literaturze, pracując równocześnie w bibliotece Ossolińskich. Przez 10 lat, 1873—1883 był redaktorem „Gazety Lwowskiej“, którą zreformował i posta-



Pogrom na wyścigach: Tłum pali pawilony wyścigowe w Longchamps pod Paryżem i płonące otacza kołem dla przeszkodzenia akcyi ratunkowej; na pierwszym planie szczątki budki kasyera, gdzie złodziej szuka pieniędzy rozsypanych.



Honorowy obywatel Lwowa: Znany estèta, zasłużony historyk i krytyk, dr. Władysław Łoziński, członek Izby panów, mianowany honorowym obywatelem miasta Lwowa.

wił bardzo wysoko. Wytężająca praca redaktorska utrudniała p. Łozińskiemu tak przezeń ukochane studya z zakresu estetyki i historyi, to też chcąc tym studyum więcej czasu poświęcić, ustąpił z zajmowanego w „Gazecie Lwowskiej“ stanowiska a oddał się wyłącznie pracy literackiej, oddał się całą duszą swym zbiorom z dziedziny archeologii a przedewszystkiem sztuki, które obecnie przedstawiają krociową wartość. Na czas krótki został wciągnięty wbrew swej woli w życie publiczne i posłował do Rady państwa z Przemyśla a do Sejmu krajowego z Turki. Wybór do obu tych ciał prawodawczych przyjął niechętnie, gdyż umysł jego na wskroś estetyczny, dusza par excellence artystyczna, w polityce nie znajdowały żadnego zadowolenia. Zrzuciwszy więc i te ciężary ze swych barków, pracował tem gorliwiej na polu literackiem, wzbogacając swój dorobek artystyczny coraz nowemi dziełami. Podczas wystawy krajowej w r. 1894 był kierownikiem działu sztuki polskiej i za zasługi w tym kierunku został odznaczony orderem Leopolda. W r. 1903 otrzymał od uniwersytetu lwowskiego tytuł doktora filozofii „honoris causa“, a wnet potem został dożywotnim członkiem Izby panów. Znakomity esteta i krytyk, umysł subtelny i ogromnie wrażliwy, historyk o głębokiej i wszechstronnej wiedzy, zajmuje dr Władysław Łoziński jedno z miejsc pierwszych na tem polu naszej literatury. Takie dzieła, jak „Patrycyat lwowski“, jak zwłaszcza „Prawem i lewem“, zbudowały dr. Władysławowi Łozińskiemu pomnik za życia.

Strejk aptekarski w Warszawie.

Bezrobocie laborantów w aptekach warszawskich przybierało w ostatnich czasach formy groźniejsze, zwłaszcza gdy część wytrwale strejkujących napastowala z browningami w ręku resztę przy pracy pozostałą.

Wtedy policya poczęła aresztować laborantów aptekarskich masowo, przyczem trudno było stwierdzić, kto winien, a kto nie, i w ten sposób ucierpiało wielu ludzi spokojnych.

Przez cały czas strejku przed każdą apteką pilnowała wejścia warta wojskowa.



Fot. A. Biegel w Warszawie.

Strejk aptekarski w Warszawie: Wejścia do aptek w czasie strejku strzeże warta wojskowa.

W morskiej trumnie.

Z Biserty rozniosły depesze wieść o tragicznym wypadku, jaki zdarzył się na morzu koło wybrzeży północnej Afryki. Zbudowana przed 4 laty podwodna łódź marynarki wojennej francuskiej „Lutin“ (41 metrów długości i 185 tonn pojemności), która mogła pływać z szybkością 12 węzłów po powierzchni, a pod wodą z szybkością 8 węzłów i uzbrojona była w 4 rury do wyrzucania torped, wypłynęła 16 bm. na ćwiczenia w zanurzaniu się w głębi morza. Statek holowniczy, który towarzyszył tej łodzi na ćwiczeniach, spostrzegłszy, że „Lutin“ nagle znikła w toni i nie wynurza się z powrotem, zaalarmował Bisertę, poczem zaraz z portu przysłano pomoc i wszczęto energiczną akcyę ratunkową. Była ona utrudniona wskutek wzburzonego morza, lecz tej okoliczności nie należy uważać za przyczynę katastrofy z „Lutin“, gdyż łodzie podwodne dość spokojnie mogą sobie lekceważyć fale morskie podczas burzy, jak to już nieraz stwierdzono. Prawdopodobnie przyczyną nieszczęścia była albo wadliwość mechanizmu, albo niedbałość przy zamykaniu klapy u przyrządu do wynurzania się z morza. Francuski minister marynarki, który przybył na miejsce katastrofy z Paryża, zaraz w pierwszej chwili wyraził powątpiewanie w możliwość ocalenia z 16 ludzi złożonej załogi statku, który spoczywa w głębokości 40 m. pod wodą. Poszukiwania prowadzone na miejscu przez oddział nurków nie odniosły też, niestety, pożądanego wyniku. Nieszczęśliwa załoga „Lutin“ zginęła na dnie morskiem, podobnie, jak przed dwoma laty, w tem miejscu również, łódź podwodna „Tarfadet“.



W morskiej trumnie: Na wodach Biserty zanurza się łódź podwodna „Lutin“ podczas ćwiczeń francuskiej marynarki; fotografowana 16 b. m. na kilka godzin przed zniknięciem łodzi na dnie morskiem, gdzie śmierć znalazła załoga statku.

Zamknięcie zdrowego w domu waryatów.

Ogromną sensacyę obudziła na Węgrzech wiadomość, że hr. Eugeniusz Zichy, który po swojej mowie przeciwko hr. Gołuchowskiemu został zamknięty w sanatoryum dla chorych umysłowo — jest zdrów na umyśle i opowiada najprzytomniej o tej smutnej aferze.



Zamknięcie zdrowego w domu waryatów: Znany przeciwnik ministra Gołuchowskiego, poseł węgierski Eug. hr. Zichy, którego rodzina internowała w szpitalu obłąkanych, mimo, że jest zupełnie zdrów na umyśle.

Więc zjawiło się u niego mnóstwo dziennikarzy, którym uwolniony opowiedział całą swoją historyę.

„Podczas delegacyj letnich — mówił hr. Zichy — poddałem ostrej krytyce politykę hr. Gołuchowskiego. Uczyniłem to, porozumiawszy się jeszcze w Budapeszcie z innymi członkami partyi Koszutowskiej, ci jednakże w ostatniej chwili cofnęli się zupełnie i zostałem literalnie sam je

den przeciwko ministrowi spraw zagranicznych. Tymczasem wezwany telegramem musiałem wyjechać do swych dóbr i tam, w dzień wielce upalny, podczas polowania, dostałem udaru słonecznego, który spowodował spadnięcie moje z konia, a następnie kilkudniową chorobę, w czasie której leżałem zupełnie bez przytomności. Skoro do niej powróciłem, spostrzegłem odrazu, że znajduję się w szpitalu waryatów... Widziałem mnóstwo szaleńców, tańczących gromadnie i wyjących niemiłosiernie. W jednej chwili ogarnąłem całą grozę mojego położenia — zrozumiałem, że muszę się uzbroić w olbrzymią dozę cierpliwości, aby nie wybuchnąć, gdyż w przeciwnym razie gotowi nałożyć mi kaftan bezpieczeństwa i uniemożliwić zniesienie się z moimi przyjaciółmi. Rozmawiałem rozsądnie z dyrektorem, którego prosiłem o wypuszczenie mnie, ten jednakowoż traktował mnie jak rzeczywistego waryata; pisywałem listy do znajomych — wszystkie skonfiskowano. Musiałem codziennie brać do niemożliwości gorące kąpiele. Z każdym dniem popadałem w coraz większe zwątpienie, aż wreszcie zjawił się u mnie prezydent Justh, który przyobiecał mi, że dołoży wszelkich starań, aby mnie z tego piekła uwolnić. Rzeczywiście niedługo konsylium lekarskie orzekło, że mogę wyjść z zakładu. Teraz dopiero dowiedziałem się, że planowano wzięcie mnie pod kuratelę, a między datami, potrzebnemi do tego, były takie, jak to np., że rodzinę żydowską, której groziło zlicytowanie, poratowałem tysiącem guldenów!... Największą jednak przykrość sprawił mi pewien artykuł, w którym dowodzono, że przeciwko hr. Gołuchowskiemu występował tylko jeden Węgier, ale jest to szaleniec, zamknięty obecnie w sanatoryum. Nic mnie jednakowoż nie odstraszy od brania udziału w walce przeciw Gołuchowskiemu, który nie powinien ani dnia zostać przy władzy!“

I w kilka dni później istotnie Gołuchowski podał się do dymisyi.

Na posiedzeniu parlamentu wniósł interpelacyę w tej sprawie Gabryel Ugron. Hr. Zichy, obecny na posiedzeniu, był nadzwyczaj poruszony i konferował długo ze swym kuzynem hr. Aladarem Zichym, ministrem a latere, który następnie czynił wymówki Ugronowi za przedkładanie sejmowi spraw czysto familijnych, a na pytanie posła oświadczył, że on, minister, był tym, który chorego hr. Eugeniusza odwiózł do sanatoryum. Afera ta zajęła wszystkie umysły, w kuluarach parlamentu nie mówi się prawie o niczem innem.



Obywatel patryota: Wicemarszałek powiatu i prezes Sokoła złoczowskiego, śp. Mirosław Eder.

Zasłużone odznaczenie.

Namiestnik Galicyi, hr. Potocki, uznając pełną chluby i pożytku działalność straży ogniowych, któremi szczerze się opiekuje, wystarał się o to, by wszystkich strażaków, którzy w czynnej służbie pozostają od lat 25, nagrodzono medalami zasługi, specyalnie w tym celu przez cesarza ustanowionemi.

W ubiegłą niedzielę odbyła się na dziedzińcu koszar podgórskiej straży pożarnej uroczystość wręczenia takiego medalu naczelnikowi straży w Podgórzu, p. Janowi Ilgowi. W uroczystości wzięła udział straż pożarna w komplecie, burmistrz miasta Podgórza poseł Maryewski z sekretarzem magistratu p. Kowalskim, wiceburmistrzem p. Kaczmarskim, asesorem Łuczką i gronem urzędników, oraz oddział policyi miejskiej z naczelnikiem.

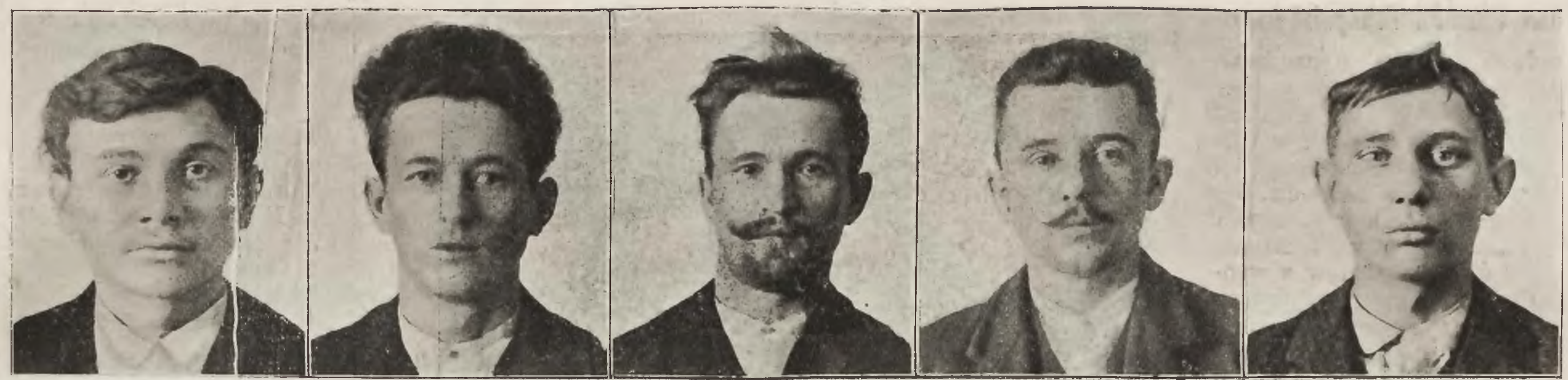
Na dziedzińcu, na tle malowniczo rozstawionych rekwizytów strażackich, ustawiła się półkolem straż pożarna i policya. Burmistrz Maryewski wygłosił dłuższą przemowę, w której podniósł zasługi p. Ilga około zorganizowania i podniesienia podgórskiej straży, i w imieniu miasta podziękował mu za chlubną i pożyteczną działalność, którą od lat 25 rozwija, poczem wręczył mu dekret z uznaniem cesarskiem i przypiął mu na piersi honorowy medal zasługi. Wzruszony do łez p. Ilg podziękował w krótkich słowach, zapewniając burmistrza, że wedle sił swoich dla dobra miasta pracować będzie. Po uroczystości grono przyjaciół i znajomych, oraz wszyscy urzędnicy magistratu składali p. Ilgowi życzenia. Imieniem straży pożarnej przemówił doń sierżant Łosiowski, imieniem policyi sierżant Hrycyk.

Załączona obok illustracya przedstawia chwilę, kiedy burmistrz p. Maryewski przemawia do p. Ilga po odznaczeniu go medalem.



Fot. aparatem redakcyjnym „Now. Illustr“. W. Lis z Krakowa.

Zasłużone odznaczenie: Uroczystość wręczenia medalu za 25-letnią służbę naczelnikowi straży pożarnej w Podgórzu, Janowi Ilgowi (5); burmistrz Maryewski (1) przemawia do odznaczonego; obok wiceburmistrz Kaczmarski (2), asesor Łuczko (3) i sekretarz Kowalski (4).



Jan Byk („Dziadek") Józef Ziemnicki, („Szlifierz") Kozuń z bojówki S. D. Stan. Ostapa, („Jasny"). Karol Ferens („Skałon") powieszony.

Wytropienie gniazda bandytów.

Warszawskiemu wydziałowi śledczej policyi udało się wytropić i ująć dwie szajki niebezpiecznych bandytów. Odkrycie to zawdzięcza policya zeznaniom powieszonego niedawno bandyty Makowskiego. Jedną z tych organizacyi, założył pod nazwą „zmowy robotniczej" Bronisław Iwanowski („Abraham"); należeli do niej głównie zawodowi złodzieje, będący w usługach bundowców, a działała ona pod wodzą „Napoliona" (Władysława Majtczaka). Później przyłączyła się do „zmowy" druga banda, będąca odłamem bojówki socyal demokracyi. Wspólnie dokonano licznych napadów rabunkowych na wielką skalę, między innemi na Kasę przemysłowców. Zdołali oni uciułać sobie nieco grosza, a kapitały (po 1.000 do 2.000 rb.) lokowali w instytucyach kredytowych. Niektórzy z nich udawali złotych młodzieńców i rozbijali się po mieście w towarzystwie kokot. Jaka karność panowała wśród stowarzyszonych, dowodzą liczne samosądy dokonywane nad członkami, na których padł choćby cień zdrady. Z ich rąk zginęli w ten sposób Puchalski i Maks Soból. Po śmierci pierwszego, zawodowego złodzieja, udało się policyi wykryć część bandy. Z pośród ujętych, powieszono już Karola Ferensa (zwanego „Skałonem"), a inni oczekują wyroku sądu polowego w cytadeli. Do tych właśnie należą bandyci, których podobizny dziś podajemy, jak dawni uczestnicy bojówki S. D.: Stanisław Łukasik („Artysta"), Kozuń, Stanisław Ostapa („Jasny") i Józef Zimnicki („Szlifierz"), herszt szajki, oraz towarzysz Ferensa ze „zmowy", Jan Byk, („Dziadkiem") zwany, wreszcie bandyta bezpartyjny Antoni Zych, przezywany „czerwonym mowcą". Z obu band policya ujęła już przeszło 50 rozbójników i ma nadzieję wytropić jeszcze trzecią szajkę, która chwilowo bawi na prowincyi.



Antoni Zych („Czerwony mowca"). Słynny zabójca Fedka powieszony. Stan. Łukasik, („Artysta").

Wytropienie gniazda bandytów w Warszawie: Fotografie niebezpiecznych bandytów, którzy stanęli przed sądem polowym w cytadeli

Z lwowskiego bruku.

(Lejący magistrat, a akt z liczbą. — *A la* Kałusz. — Polityczne lanie. — Sensacyjne zapomogi kolejowe. — Banknoty fałszywe czy nie fałszywe. — Humorystyka recenzentów. — Dom waryatów. — Prądy i prądy).

Zaczynam od „powietrza", t. j. od pogody, ale nie dlatego, jakobym nie miał innych tematów. I owszem, mam bardzo wiele. Ale nasza pogoda zasługuje na specyalną wzmiankę, bo jest jakaś naprawdę zagadkowa: granicę naszej pogody stanowią obecnie „kolana". Powyżej kolan, t, j. od kolan aż do samego nieba, bajeczna, cudowna, słoneczna pogoda, od kolan w dół chlapawka, bryzganina, jeziora, bagna, moczary i błoto. Tak od tygodnia. Naturalnie, dzięki zabiegom magistratu lwowskiego. On się mści. Krzyczano, wołano i pisano, dlaczego nie skrapia ulic, dlaczego pozwala ludziom dusić się kurzem. Więc skrapia. Nie tylko skrapia, ale poprostu leje i leje na grubą warstwę kurzu i wytwarza sztuczne błoto, że aż miło. Chcieliście, aby skrapiać, macie skrapianie. Brodzi więc naród po błocie, które ze szczególnem zamiłowaniem produkuje magistrat na pryncypalnych ulicach Karola Ludwika, Jagiellońskiej i innych. Dzienniki tutejsze aż do ochrypnięcia wołają, aby wprzód zamiatać, a potem kropić — magistrat codziennie leje i do wczorajszego błota dorabia nowe i leje zawzięcie, bez zastanowienia, bez miłosierdzia, bo odnośny kawałek zreferowany, zaopatrzony w liczbę, zmundowany, skollacyonowany, zaprotokołowany, podpisany i ekspedyowany, jest już załatwiony i nie można go cofnąć. Teraz, gdy chodzi o zamiatanie, trzeba będzie na nowo zreferować, zmundować itd... aż do ekspedycyi i będzie się zmiatać. Ale to potrwa conajmniej do stycznia, gdy ziemia zamarznie i śniegiem się pokryje, więc kawałek pójdzie do aktów jako niewykonalny. Tak u nas wszystko dzieje się w pewnym porządku i pod tym względem przypomina nam lwowski magistrat — magistrat kałuski.

Tam był niedawno (a może jest jeszcze) pewien burmistrz biurokrata, emerytowany urzędnik skarbowy. Doniesiono mu, że kubeł porzucił jakiś sługa gminny w sieniach i pytano burmistrza, kto ma kubeł sprzątnąć. Zasiadł więc p. burmistrz i napisał referat z liczbą. Kazał go potem zaprotokołować, zmundować, skollacyonować i wyekspedyować do inspektora policyi, aby tenże wyznaczył policyanta, który ma sprzątnąć kubeł. Zanim akt z liczbą doszedł do rąk policyanta, skradziono kubeł.

Coś podobnego dzieje się teraz u nas z laniem. Mówię naturalnie o laniu wody, a nie o laniu, jakie sprawić obiecują socyaliści całej redakcyi „Słowa Polskiego". To zresztą jest lanie czysto polityczne, choć dotyczy wcale niepolitycznej części ciała, a że wam raz przyrzekłem nie robić w korespondencyach lwowskich polityki, przeto zostawiam redaktorów „Słowa" ich własnej ostrożności i opiece konnej policyi, a sam pośpieszam gratulować urzędnikom kolejowym z powodu udzielonej im zapomogi ze strony ich ministerstwa.

Urzędnicy kolejowi kilku najniższych rang otrzymali z powodu panującej drożyzny po 5 lub 10 kor. tytułem jednorazowej zapomogi, skutkiem czego w całym światku kolejowym nastała taka niekłamana radość, że od kilku dni nawet lokomotywy weselej i głośniej gwizdają. Ale za to dowiedzieli się o tem kupcy i rzeźnicy i podnieśli ceny wszystkich artykułów żywności. Nawet ostrygi i bażanty podrożały przez te kolejowe zapomogi, bo teraz wzmógł się popyt na najdroższe delikatesy.

Cóż ma robić — pytam — człowiek, który nie jest galicyjskim urzędnikiem kolejowym i nie może liczyć na taką zapomogę? Wypada mu chyba fałszować banknoty. Ale i za to zamykają do kryminału. Kilku naszych obywateli w tej chwili odpowiada we Wiedniu przed trybunałem karnym za „podrabianie fałszywych 50-ciokoronówek". Oni właściwie podrabiali „prawdziwe" 50-ciokoronówki a produkowali fałszywe. Choć i to nie jest właściwa nazwa, bo taki sfałszowany banknot wcale nie jest fałszywym, skoro go można taniej nabyć i skoro go człowiek tak rychło nie puszcza w obieg z obawy, aby go nie wyłapano. Fałszywym jest raczej dobry banknot, który tylko z trudnością daje się nabyć, a gdy już raz przylepnie nareszcie do człowieka, to zaraz ucieka, odskakuje jak piłka, zanim człowiek miał czas dotknąć go, pomacać i zagrzać.

To też żal nam, że wiedeńscy sędziowie zastanawiają się w tej chwili nad tem, na jak długo mają zamknąć fałszerzy banknotów i uniemożliwić ich dalszą działalność dla dobra ogółu. A my teraz właśnie potrzebowalibyśmy na gwałt jakiejś prywatnej fabryki lepszych i tańszych banknotów, bo te, które rządowa fabryka wyrabia, są zbyt rzadkie, aby były dobre. Na ten temat dałoby się wysnuć dużo humorystycznych refleksyi, ale i w tym „fachu" humorystyki nastała we Lwowie w ostatnim czasie tak silna konkurencya, że zaczynam się rozglądać za jakimś innym, mniej obsadzonym działem w dziennikarstwie.

Bowiem do humorystyki wzięli się teraz lwowscy recenzenci teatralni t. zw. poważnych dzienników. Jest to co prawda humorystyka mimowolna, ale robi swoje, bo pobudza do serdecznego śmiechu. Jeśli się czyta, że poeta Henryk Zbierzchowski degraduje na nic swego kolegę Szyllera, albo krytyk Bum-bum nawet nie uważa za stosowne (czy możliwe) ocenić wogóle dramat Szyllera i traktuje go obcasem, albo jakiś recenzent w spodnicy traci trzy godziny, aby przy pomocy trzech słowników przetłómaczyć trzy szpalty z leksykonu Mayera albo innego podręcznika w pocie czoła, i wykazać w długiej, długiej recenzyi, że to, co się napisało, tak podobne jest do recenzyi, jak pięść pana Feldmana do noska panny Jaroszówny — jeśli się to i tym podobne rzeczy czyta i nie pęka się ze śmiechu i nie płacze z litości i nie waryuje z idyotyzmów, z pseudo-mądrych i pseudouczonych idyotyzmów, to jest to cudem i szczęściem, a jeśli się dalej porównuje cielęcy zachwyt innego recenzenta z żakowskiem pluciem a la bumbum — to mamy gotowy dom waryatów, nasz, swojski, krajowy, choć kradnący wzory z niemieckich recenzyj bezkarnie, ale i bez sensu — w myśl sentencyi, że Bóg im przebaczy, bowiem nie wiedzą, co czynią.

Kwalifikacya na recenzenta? Wyrzucony z gimnazyum berbeć — dobrze. Skrachowany akademik? I owszem. Taki, co na podstawie 50 przeczytanych wierszy potrafi napisać pięćdziesiąty i pierwszy? Ależ prosimy, prosimy, to przecież poeta! Urzędnik kolejowy jako recenzent muzyczny? Prosimy bardzo, prosimy! Okulista? — Chodź pan w nasze objęcia! Profesor rysunków i matematyki w szkole realnej? Herein!

Byleby młody i żeby szedł, uważa pan, z prądem. Bo teraz te, panie dzieju, prądy i prądy, całkiem zaprządziły nam dawne prądy i uważa pan, im większy nonsens będzie napisany czy przepisany, to tem więcej będzie prądował z prądem... A o to przecie, uważa pan, głównie chodzi. No więc.

Krakowski tydzień muzyczny.

Ubiegły tydzień muzyczny i jego życie stały pod znakiem Kubelika, zarówno niepospolitego mistrza smyka, jak niemniej i.... reklamy, którą wywalczył sobie w krótkim czasie imię i wzięcie najpierw na kontynencie, a następnie za oceanem. Resztki tej amerykańskiej reklamy można było oglądać i na starych murach Krakowa, w postaci olbrzymich afiszów z wyobrażeniem Kubelika w całej i półfigurze z narzędziem muzycznem, którem zadziwiać i przykuwać miał słuchaczy. Reklama zwykle przesadna, tym razem nie okazała się zbyt przesadną. Kubelik, zagrawszy w sali starego teatru, wprawił w zachwyt słuchaczy, którzy zwyczajem mocno w Krakowie zakorzenionym (bardzo zresztą miłym dla wszelkiej kategoryi koncertantów), żądali naddatków. Czy do wzmożenia nader wysokiej temperatury entuzyastycznych zachwytów krakowskich słuchaczy nie przyczynił się snobizm, podniecony tylu rozmaitemi muzycznemi i niemuzycznemi legendami, pojawiającemi się w prasie europejskiej, a za nią i w naszej — w to już wchodzić nie będziemy. Kubelik grał nie wiele — gdyż obok niego popisywało się dwoje innych młodych artystów, pragnących, w tak dostojnem towarzystwie zwrócić na siebie uwagę — śpiewaczka tudzież pianista. To jednak, co grał Kubelik, dowiodło, iż jest naprawdę mistrzem niepoślednim, skrzypkiem wielkiej miary, umiejącym zarówno pieścić aksamitnym tonem swego wspaniałego Stradivariusa, zarówno zachwycać myzycznem i artystycznem ujęciem przeważnie płytkich utworów, jak niemniej zdumiewać swobodą kolosalnej techniki, nieuznającej jakichkolwiek granic trudności. Wnikać głębiej w istotę niepospolitej gry i w przejawy talentu Kubelika nie widzę potrzeby, uczyniło to bowiem już wielu innych.



Hania Grüner.

* * *

Niebezpiecznem jest wystąpienie obok takiego mistrza, jak Kubelik – ku któremu biegną wszystkie zachwyty słuchaczy. — Młody pianista, p. Goll, nie ustraszył się tego współzawodnictwa i dowiódł nietylko odwagi, lecz i talentu, skoro grą swą zdołał na siebie zwrócić uwagę audytoryum i zyskać bardzo szczery aplauz.

* * *

W koncercie przyjęła też udział Krakowianka p. Hania Grüner, śpiewaczka, która poza piękną aparycyą posiada także piękny materyał głosowy. Szkoda tylko, że trema — ów nieodłączny towarzysz wszystkich rozpoczynających karyerę śpiewaczą — nie pozwoliła ani na rozwinięcie zasobów wokalnych, ani na przedstawienie studyów technicznych. — Zamiast zniechęcać się surową krytyką, powinna śpiewaczka oddać się dalszym studyom wokalnym u dobrego mistrza bel cantu i częstszymi występami estradowymi zdobyć sobie swobodę. — a wówczas popisy estradowe uwieńczone być mogą niewątpliwem powodzeniem.

Zarówno Kubelikowi jak i p. Grüner akompaniował p. Schwab, prawdziwy mistrz w swoim zawodzie.

—*urs.*—

„Mateczka“

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

28 (Ciąg dalszy)

Naraz głowa generała zsunęła się na bok i rozległo się chrapanie miarowe. Spał znużony i zmęczony, zresztą wypił bardzo wiele i już od paru godzin Felicya podtrzymywała go sztucznie tylko w bezsenności mocną kawą czarną.

Teraz zbliżyła się do komody i sięgnęła po portfel z kosztownej skóry. Otwarła go.

— Przecież kazał mi wziąć ile zechcę — pomyślała sobie, a oczy jej zaiskrzyły się na widok grubych plików tęczowych banknotów rosyjskich.

Wysunęła z jednej paczki kilkanaście papierków i zawahała się. Zaczęła liczyć. Suma wydała się jej zbyt wysoką. Gotów się spostrzedz generał nazajutrz.... Ale pieniądze paliły ją w ręce, aż drżeć zaczęła na całem ciele. Więc wzięła się do przeliczenia całej zawartości portfelu.

— Skoro tyle ma przy sobie, to bagatelka taka nie zrobi różnicy — szepnęła do siebie i dobrała jeszcze kilka papierów kolorowych — przecież sam powiedział mi, że mogę wziąć ile mi się podoba.... Zresztą tak był pijany, że nie może nic pamiętać, nie sposób.... Naturalnie, że nie warto ceremoniować się.... A drugim razem zapewne sam nie przyjedzie tutaj i o podobną okazyę byłoby mi trudno...

Obok na krześle wisiały spodnie wojskowe. Wzrok jej padł na zamknietą na dwa guziki kieszeń skórkową. Wyjęła z niej woreczek. Wśród mnóstwa srebra i paru miedziaków błyszczało kilkadziesiąt sztuk złotej monety. Palcem przesuwała je w głębi woreczka. Wtem dźwięk pieniędzy przeraził ją. Gotowa zbudzić dziedzica tym dźwiękiem..

Wysunęła się tedy cichutko na palcach do przyległego pokoju i dopiero tam wyjęła z woreczka część monety, wcisnęła złoto w papiery, wyciągnięte przedtem z portfelu i zawiązała wszystko w chusteczkę.

Ukrywszy w jakiś dobry schowek swoje cenne zawiniątko, powróciła za chwilę równie cicho na miejsce i z zadowoleniem sprawdziwszy, że generał śpi w najlepsze, włożyła portmonetkę do kieszeni, guziki zapięła, potem jeszcze raz poprawiła na komodzie portfel i położyła się spać.

Dziedzic odjechał dopiero przed wieczorem nazajutrz, spał bowiem do południa i za namową Felicyi zaniechał już wizyty w sąsiedztwie.

Następnego dnia pani Felicya udała się co prędzej do Smoleńska, zawożąc znaczny transport świeżego towaru do winiarni pod firmą Moszka Kaliskiego.

W sklepie przed wieczorem zastała właśnie ruch wielki, a na widok licznych klientów aż się jej oczy zaświeciły.

Wśród gości zauważyła twarz, która wydała się jej wcale nieobcą. Był to mężczyzna przystojny, wysoki, o szerokich barkach, w mundurze pułkownika żandarmeryi. Ledwie ją tylko spostrzegł, zmarszczył brwi i podszedł ku niej:

— A cóż pani tutaj robi?

— A skądże pan się wziął w Smoleńsku?

Był to dobry jej znajomy z czasów, gdy mieszkała w Warszawie, gdzie dzisiejszy pułkownik był młodym oficerem żandarmeryi.

Po krótkiej rozmowie wyszli razem, wsiedli do dorożki i pojechali na kolacyę.

Dopiero nazajutrz koło południa zjawiła się Felicya ponownie u Moszka, z którym miała do odbycia dłuższą konferencyę. Kupiec był zachwycony towarem, który wczoraj wyładował sobie z jej bryczki, gdy zostawiwszy wszystko, odeszła z pułkownikiem. A ucieszył się jeszcze bardziej, gdy się teraz dowiedział, iż wkrótce dostanie przesyłkę cenniejszą.

Parę godzin spędzono na obliczeniach, dotyczących spółki handlowej, poczem pani Felicya zamknąwszy się, zasiadła do pisania ważnego listu do pana Edwarda K....

Napisawszy „Kochany Mój Bracie!“, debatowała długo, zanim zaczęła pisać dalej, jak następuje:

„Na początek pozdrawiam Cię w imię Najświętszej Panny Nieustającej Pomocy, nie wątpiąc ani na chwilę, że Ona pomaga ci bezustannie tak, jak i mnie. To też adorujmy Ją nadal jednako, a wypełnione zostaną pobożne pragnienia nasze.

„Cegiełka po cegiełce przybywa do wielkiej budowy niebotycznego gmachu, który postawimy w niedalekiej przyszłości Imieniowi Maryi. Troska o tę budowę nie schodzi mi z myśli ani na chwilę, a każdy dzień wypełnia serce moje coraz to większą nadzieją, iż dzień bliski jest, w którym będę mogła przystąpić do potężnego dzieła mego życia.

„Tymczasem i Ty, Bracie ukochany, zasługuj się Bogu, Jego Matce i sprawie naszej wspólnej, działaj w myśl rad moich i na każde zawołanie moje bądź gotów i posłuszeństwa nie odmawiaj, jako sobie przez moje usta życzy tego Święta Pani Nasza.

„Wiodę teraz żywot bardzo cichy i w sobie zamknięty na tem wygnaniu naddnieprowem.

„Brak mi tutaj Ciebie, Bracie, bo nie mam z kim podzielić na ziemi swoich myśli o Niebie, jak czyniłam do niedawna w Twojem towarzystwie i jak wkrótce czynić będę znowu, skoro tylko wypełnią się dni moich cierpień wygnanki dla szczęścia ludzkości.

„Tej nocy nawiedziła mnie wśród modlitwy Nasza Matka Najświętsza i nakazała mi zająć się jedną duszą zbłąkaną w młodem ciele, ratować ją póki pora jeszcze....

„Jest to twój bratanek Felicyan, który nie napróżno nosi imię moje; znak to bowiem z Nieba, które rodziców jego natchnęło w dzień chrztu przy wyborze imienia dziecka.

„Gdziekolwiek byłby on w tej chwili, masz go zawiadomić natychmiast, iż nakazano mu bez zwłoki wybrać się w podróż daleką nad Dniepr.

„Niech zaraz do mnie przyjedzie na wieś, czekam go i mile powitam.

„Dasz mu tylko na drogę pieniądze, nic więcej.

„Będzie tu elewem agronomicznym w majątku generała G.

„Nigdzie lepszej sposobności do pożytecznego praktykowania nie znalazłby młodzieniaszek, a co więcej i co najważniejsze, że będzie pod mojem okiem“.

List kończył się wiązanką czułych słówek dla kochanego braciszka, wraz z zapewnieniem o serdecznej tęsknocie, „albowiem i ja tylko marną istotą ludzką jestem z krwi i kości, bez skrzydeł aniołów niebiańskich — i umiłowawszy Cię przeto zarówno duszą, jak ciałem, muszę tęsknić sercem i wszystkiemi zmysły w godzinach rozłąki i oddalenia“...

Odebrawszy ten list, pan Edward zawiadomił natychmiast bratanka, który w parę dni później stanął już w Warszawie po drodze do Smoleńska.

Prócz miast wielkopolskich, znał młody pan Felicyan tylko Berlin. Więc paryski ruch, ożywiający ulice Warszawy, olśnił i oczarował młodego agronoma. Zabawił w Syrenim grodzie, wbrew dyspozycyom stryja, cały tydzień, zanim wyruszył w dalszą drogę nad Dniepr.

Przyjechał do pałacu generała w jego wiejskim majątku w porze południowej, pani Felicya była zatem gotową od pierwszej chwili na przyjęcie gościa, którego oczekiwała w stołowym pokoju w fotelu pod oknem. (C. d. n.)

Oszukańczy instytut handlowy.

W dziennikach krakowskich pojawiały się w ostatnim czasie ogłoszenia o otwarciu przy ul. Mikołajskiej l. 11 „wielkiego instytutu handlowego“ i „szkoły buchalteryi oraz wszystkich języków nowożytnych“. Kurs niższy dla osób nic jeszcze nie umiejących wymagał opłaty miesięcznej 100 koron, wyższy dla przygotowanych już w zawodzie handlowym — 80 koron na miesiąc. Lokal instytutu składał się z pokoju kawalerskiego, w którym znajdowały się: stół kuchenny (pożyczony od sąsiadki), kilkanaście stołków białych (zakupionych



Oszukańczy instytut handlowy: 40-letni Poznańczyk, Kazimierz Ligocki, który pod nazwiskiem Lassowa próbował w Krakowie, przy ul. Mikołajskiej, prowadzić „instytut handlowy“, nie mając pojęcia o buchalteryi ani o językach, które miał wykładać. (Fot. W. Lis).

na Groblach), a poza tem zaopatrzony był... w kilka arkuszy papieru i kawałek kredy za 5 centów. Na skutek zręcznej reklamy do instytutu zgłosiło się grono uczniów i uczenic i zapisało się na kursa buchalteryi i języków angielskiego, francuskiego, włoskiego, niemieckiego, rosyjskiego i esperanto. Instytut miał prowadzić i w nim wykładać przedmioty powyższe, mężczyzna 40 letni, rodem z Poznania, dopiero przed 2 miesiącami do Krakowa przybyły, który podawał się za Kazimierza Lassowa. Grono słuchaczów uiściwszy z góry opłatę, pragnęło korzystać z nauki. Tymczasem albo nie zastawało się pana dyrektora na miejscu, albo też odkładał on na później lekcye, tłómacząc, że czeka na więcej uczniów. Ale kiedy wreszcie przyparty do muru, zaczął wykłady, spostrzeżono się, że dyrektor profesor ma o przedmiotach wykładanych mniejsze pojęcie, niźli jego słuchacze. Wogóle sposób „nauczania“ i urządzenie „zakładu szkolnego“ zaczęły budzić podejrzenia, więc rychło wiadomości o tym dziwnym instytucie handlowym doszły do wiedzy policyi. Komisarz Krupiński zajął się wyświetleniem sprawy, co przyszło nietrudno i dziś fałszywy dyrektor szkoły znajduje się już „pod telegrafem“. Lassow nazywa się właściwie Ligocki i z Poznania zbiegł przed karą więzienia za oszustwa, a już we Wrocławiu przedtem odsiedział rok w więzieniu za fałszerstwo dokumentów. Z zawodu ma być technikiem, o buchalteryi niema pojęcia, a prócz polskiego i niemieckiego, innymi językami nie włada. Sądy i policya różnych miast pruskich poszukują go z powodu szeregu rozmaitych przestępstw i oszustw. W mieszkaniu jego znaleziono w Krakowie różne peruki siwe, co wskazuje, że podobnie jak nazwisko, zmieniał często i fizyognomię w celach oszukańczych.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I.

Ułożyła M. Brzezińska, Kraków.

Pierwsza — litera, *trzecia* — litera,
Obie alfabet polski zawiera.
Pierwsza i druga — jak zwykle ona,
Niepożądana, choć zasłużona.
Trzecia i druga wielka, soczysta,
I w smaku dobra, rzecz oczywista.
Z historyi *trzecia-czwarta* jest znaną,
Bo króla Węgier oznacza miano.
Całość — łączyła piękno z pożytkiem,
Dziś jest dawniejszych czasów zabytkiem.

II.

Ułożył J. Biliński, Żywiec.

Pierwsza-druga — z siły słynie,
Czwarta z pierwszą — to nakrycie.
Trzeci wspak — kogóż ominie?
Całość — u kobiet znajdziecie.

III.

Ułożył J. Biliński, Żywiec.

Pierwsza zaimek, świat cały mieści,
Druga — liczebnik w ruskim języku,
Wspak trzecia pierwsza: tytuł powieści.
Całość — to imię. Zgadnij człowieku!

Logogryf I.

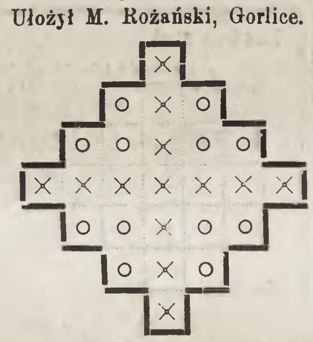
Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Ze zgłosek: bo, chy, ci, da, da, dar, dor, dysz, e, e, fa, gal, i, i, kiet, ko, ko, ko, len, let, lo, łów, mis, ne, ne, no, no, nom, ol, om, or, pie, pis, ra, ra, re, ro, rze, se, sta, sza, u, we, wnik, za, za, zy, żo — ułożyć 18 wyrazów, których litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzą nazwiska dwóch pisarzy polskich, zaś końcowe, czytane w tymsamym kierunku, tytuły dwóch dzieł tych pisarzy.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej zlecenie. 2. Legumina. 3. Bogini u dawnych Germanów. 4. Miasto i twierdza w w Dalmacyi. 5. Imię męskie. 6. Rzemieślnik, wyrabiający noże. 7. Imię żeńskie. 8. Stacya kolejowa na granicy Galicyi i Węgier. 9. Bogini miłości. 10. Rzeka w Afryce. 11. Roślina, z której wyrabiają płótno. 12. Imię męskie. 13 Rodzaj holenderskiego sukna. 14. Miasto nad Odrą. 15. Rolnik. 16. Inaczej telegraf. 17. Rodzaj mchu. 18. Drzewo, u nas pospolite.

Kryptogram.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

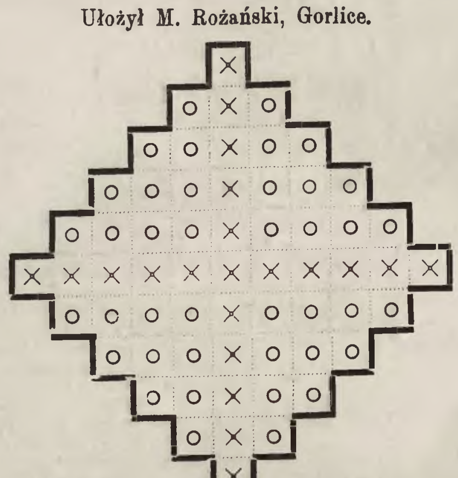


Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły nazwisko doskonałego autora powieści z życia mieszczańskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Miasto na Podolu w Rosyi. 3. Pospolite imię żeńskie żydowskie. 4. ? 5. Dawny ciężarek apteczny. 6. Inaczej dokument urzędowy. 7. Samogłoska.

Kryptogryf.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły tytuł znakomitej komedyi Przybylskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak. 3 Słynny król egipski. 4. Miasteczko w Galicyi. 5. Pasmo gór w Tybecie. 6. ? 7. Komedya Fredry. 8. Rzeka w Galicyi. 9. Imię żeńskie. 10. Król pustyni. 11. Spółgłoska.

Logogryf II.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

Ze zgłosek: a, a, an, an, bi, brzeg, cha, ci, ci, cie, czów, da, das, der, di, do, dy, dy, e, e, est, eu, frak, fran, helm, i, i, i, ir, kam, kar, ki, ki, kie, ko, koń, kow, kra, kuck, la, lan, le, lew, li, lo, łas, ło, ma, mi, min, mo, mos, na, ni, ni, nie, nik, nik, no, nów, nyks, o, o, o, ol, pe, pol, pol, ra, ro, rze, ry, sa, ski, ski, ski, so, su, sza, szek, tar, ter, ter, tes, trzew, ty, wad, wał, want, wil, wu, za, zan, zes, zo, zy, żec, ży — ułożyć 38 wyrazów w ten sposób, aby litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, utworzyły nazwiska dziesięciu znakomitych artystów dramatycznych.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejsce kąpielowe w Galicyi. 2. Imię żeńskie. 3. Autor pieśni „O ziemi naszej“. 4. Wyspy w Ameryce. 5. Ptak leśny. 6. Król Persów i Medów, syn Cyrusa. 7. Miasto na Syberyi 8. Tytuł znakomitej komedyi Moliera. 9. Drogi kamień, odmiana agatu. 10. Rodzaj krytego powozu. 11. Mieszkanie pasterzy owiec w górach. 12. Czerwona farba. 13. Dwie samogłoski. 14. Miasteczko w Galicyi. 15. Mieszkaniec północy. 16. Tytuł prześlicznej noweli Sienkiewicza. 17 Jedno z plemion, które w dawnych czasach zamieszkiwało Syryę. 18. Inaczej zaniknięcie. 19. Drzewo. 20. Imię męskie. 21. Miasto gubernialne na Litwie. 22. Zwierzę domowe. 23. Słynny mówca i założyciel szkoły wymowy w Atenach. 24. Ubiór męski galowy. 25. Znakomity pedagog i uczony polski. 26. Król pustyni. 27. Imię męskie. 28. Król frygijski. 29. Bóg grecki. 30. Zwierzę. 31. Imię męskie. 32. Autor „Listopada“. 33. To, co wypełnia wszechświat. 34. Inaczej czasem. 35. Miejsce kąpielowe nad Bałtykiem. 36. Rzeka w Indyach Zagangesowych. 37. Jedna z 9 muz. 38. Słynny wódz spartański.

Łamigłówka.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.

Z podanych liter ułożyć 13 wyrazów w ten sposób, aby litery środkowe, czytane z góry na dół, utworzyły tytuł najnowszej powieści Stefana Żeromskiego.

a, a, a, a, a,
a, a, a, a, a,
b, c, d, e, e,
e, e, e, f, f,
g, h, i, i, i,
j, j, k, k, k,
k, k, k, k, l,
m, n, n, n, ń,
ń, o, o, o, o,
o, o, o, r, r,
r, r, r, s, s,
s, t, t, t, t,
u, u. u, z, z.

Znaczenie wyrazów: 1. Tytuł dyalogu Platona, w którym tenże dowodzi stanowczo nieśmiertelności duszy. 2. Zdrobniałe imię męskie. 3. Drzewo. 4. Miasto forteczne we Francyi. 5. Ptak. 6. Wyspa na morzu Śródziemnem. 7. Gatunek drobiu. 8. Miasteczko w Galicyi. 9. Miasto w Rosyi. 10. Imię żeńskie. 11. Imię męskie. 12. Drzewo, z którego wyrabiają drogocenne meble. 13. Pierwiastek chemiczny.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy należy ułożyć: brest, cek, don, fe, flu, gut, koń, i, ja, ka, ka, ka, ka, ko, kre, ma, na, na, o, or, re, si, soj, ta, tur, zio, zań.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznacza redakcya jako nagrodę **wspaniały tort czekoladowy** z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 41.

Szarady.

I. Restauracya. II. Przybyszewski. III. Madera.

Zagadka.

J, J**a**n, Ha**n**ia, bru**k**iew, Ball**a**dyna, Stani**s**ławów, wróbel-**p**liszka, Rosme**r**sholm, Biał**o**gród, kra**w**iec, Ch**i**le, a**c**h, **z**, r**u**m, rą**c**zy, kos**z**ula, mit**r**a, S**a**n, **H**, R**e**j, st**r**uś, agr**o**nom, Prze**d**świt, Przem**y**ślany, Ameryk**a**-Afryka, Kunegun**d**a-Aniela, Konstant**y**-Eustachy.

Jan Kasprowicz — Uczta Herodyady.

Kryptogram.

ka**w**ka, Kl**o**to. L**e**jda, cy**n**ik, Dr**a**wa, ku**f**el, fu**r**ya, sz**a**fa, Historya **n**aturalna, Krakowia**c**y i górale, Szwajcar**y**a i Belgia, Od kolebk**i** do mogiły, ba**z**ar, or**k**an, zł**o**to, gę**ś**le, Ta**c**yt, Al**i**na, gł**o**wa, bu**ł**at, af**e**kt, ni**m**fa.

Wojna Francyi z Kościołem.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: Wł. Dobrowolski Mościska, Wł. Studziński Kraków, M. Pfeiffer Przemyśl, Z. Ehrenberg Kraków, M. Kozaczewska Lwów, A. Rotter Stanisławów, Wł. Dziewiński Kraków, Siła Nowiccy Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, Z. Napadiewicz Lwów, R. Sabat Lwów, Z. Sabatówna Lwów, T. Krzyszkowski Zakopane, K. Fuchs Peczeniżyn, J. Świętnicki Borysław, K. Sidziński Cieszyn, J. Badura Rożdzień, H. Karatnicka Nadwórna, Z. Ciechanowska Stary Sambor, A. St. Bassara Niwiska, F. Kuszpeciński Kraków, Fr. Kalita Gawłuszowice, Tow. „Zgoda“ Krosno, H. Leligdowicz Fraga. H. Banke Kraków, Dr. St. Warmski Turka, Al. Bocsoń Bóbrka, Fr. Niepokój Krosno, K. Jurkiewicz Tłumacz, C. Głębocki Kraków, T. Domain Sanok, M. Małaczyński Pikułowice, H. Zielińska Manajów, E. Bogdalska Koropuż, Wł. Hałdziński Lichwin, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Bartelmusowa Lwów, A. Batko Lwów, M. Cetera Dubiecko, M. Rożański Gorlice, W. Stanula Samocice, M. Switlikowa Rzeszów, H. Mokrzycka Drohobycz, St. Łaszkiewicz Dębica, dr. J. Kasparek Lwów, J. Czechowicz Mikołajów, H. Ulrych Malin, J. Haładej Górki, L. Bonikowa Bełz, F. Kupferberg Drohobycz, M. Cellerin Bukowsko, K. Ludwig Borysław, Fr. Kośmider Nowy Sącz.

Nagrodę za rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie **p. Konstanty Sidziński w Cieszynie**. Prosimy o nadesłanie 72 hal. na koszta przesyłki nagrody.

Jedynym istniejącym prawdziwym środkiem piękności jest

„Haya“ Krem piękności



który usuwa piegi, plamy wątrobiane, pryszcze, wągry i t. p., nadaje przytem twarzy świeży, młodociany wygląd.

Zupełnie nieszkodliwy. — **Słoik 1 kor.**

Do tego **Mydło piękności** sztuka 1 korona.

Puder piękności pudełko 1 kor., biały, różowy i kremowy.

S. HAY APTEKARZ

c. k. dostawca nadworny

Lwów, ulica Kazimierzowska L. 26.

Wyłączna sprzedaż na Kraków i zachodnią Galicyę

Słynnego obuwia amerykańskiego

z fabryki

Florsheim & Company w Chicago

posiada

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

magazyn galanteryjny, skład kapeluszy, bielizny i przyborów do podróży

w Krakowie, ul. Sławkowska L. 3/a, Hotel Saski Tel. 516.



Siedem lat pracowałem jako mechanik u firmy Józefa Iwanickiego. Obecnie otworzyłem

SKŁAD

Maszyn do szycia i Warsztat reperacyjny.

Sprowadzam maszyny z pierwszorzędnych fabryk europejsk. sławy **wszelkich systemów** do szycia i haftu. — Ajentów nie trzymam. — Naprawę maszyn uskuteczniam w 48-miu godzinach z roczną gwarancyą.

Leonard Wanke

Mechanik specyalista, we Lwowie ul. Dominikańska 2.

Proszę żądać moich cenników.



FOSFATYNA FALIERA

przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza w czasie odłączania od piersi i w okresie rośnięcia. **Ułatwia ząbkowanie i zapewnia prawidłowy rozwój kości.**

Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Ostrzegamy przed naśladownictwami

Ozdoba dla każdego pokoju!



Tylko krótki czas! Za tę cenę jeszcze nie było.

Z powodu zwinięcia fabryki udałomi się tanio zakupić 8.000 dywanów ściennychi 11.000 dywaników przed łóżka tak, iż jestem w stanie wspaniały

Dywan ścienny z szenilli

obustronnie jednakowy w pięknych prawdziw. barwach 100 m. szeroki, a 200 cm. długi o cudownych deseniach: Lwy, psy, rodziny r nie, łabędź paw, jeleń, Persowie, kwiaty etc. za zaliczką posłać **po złr. 2·50.** Szczególnie polecenia godny do wilgotnych pokoi, ponieważ dywan jest tak gruby, że się wilgoć nieprzedostaje.

Piękne dywaniki przed łóżka tylko 80 ct. sztuka.

Pierwszy Morawski eksportowy Dom towarowy

Julius Hoitasch, Göding Nr. 120 (na Morawie)

Tysiące podziękowań i dalszych zamówień znajduje się u mnie! Nieodpowiednie towary zostaną bez trudności przyjęte z powrotem a pieniądze zwrócone.

Do Pana Hoitascha w Göding: KsiężnaAleksandra v. Croy jest bardzo zadowolona z zakupionych u Pana ściennych dywanów; proszę o przysłanie odwrotną pocztą jeszcze dwa dywany do okien, tak [illegible] w katalogu r. 92 po złr. 2·80

Z poważaniem **Franciszka Löschner**, ochmistrzyni.

TUTKI CYGARETOWE

„NORIS“

z watą chemicznie czystą

oznaczone literą **N** są w powszechnem użyciu.

Zawdzięczam to tej okoliczności, że do ich wyrobu używam najlepszej bibułki, zrobionej z włókien rośliny **Chmiel „le Houblon“.**

Wyrabiam tak **klejone** jak i nieklejone (maszynowe). Nadają się do wszelkich szlachetniejszych tytoni. Smak ich jest łagodny — dym chłodny, nie sprawiają pieczenia w krtani i na języku.

Dla zwolenników tutek **klejonych** polecam: „LE HOUBLON-NORIS“ z watą. Są one wyborne i oznaczone literą **K.** Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć **zatrucia nikotyną**, winien palić tylko w cygarniczkach szklanych z watą „SALVESOL“ — pochłania ona nikotynę, a więc usuwa jej szkodliwe działanie.

10 cygarniczek szklanych K 1·20
Pakiecik waty »Salvesol« 30 lub 60 h.

Wyroby te poleca:

Zakład przemysłowy wyrobów papierowych

„NORIS“

Mr. W. Bełdowski w Krakowie.

Automatycznie zamykane!



Amerykańskie Biurka z żaluzyami

oraz amerykańskie urządzenia biurowe z drzewa dębowego, orzechowego i mahoniowego poleca **ZYGMUNT LAUER,** generalne zastępstwo firmy The Globe Wernicke Co., Chicago, **w KRAKOWIE, ul. Starowiślnia 30.** Wystawa okazów przy ul. Starowiślnej 12 (parter). — Cenniki darmo.

Założona w r. 1884.

Pierwsza krajowa fabryka wyrobów koszykarskich

A. KONIEWICZA
Lwów, ul. Batorego L. 12.



Zaszczytnie odznaczona na wszystkich wystawach krajowych.

Wielkie magazyny, sprzedaż hurtowna i drobiazgowa.

CENY TANIE

Na składzie zabawki wyrobu krajowego, mebla bambusowe, wózki dziecinne i t p.



SKRZYPCE DLA UCZNIÓW

wraz ze **smyczkiem i pudełkiem kompletne K. 12**

Skrzypce te prawdziwie czeskie, cieszące się sławą z powodu bardzo dobrej jakości, dostarcza się wraz z odpowiednim smyczkiem, futerałem drewnian., kalafonią, strunami rezerwowymi, podstawką i gwizdkiem głosowym po cenach następujących:

Nr. 124 Dobrze grające skrzypce, **kompletne,** jak wyż. opisaane K 12.
„ 126 Lepsze skrzypce, z silnym dźwiękiem, kompletne . „ 14
„ 128 „ „ eleg. lakier. z garnitur. heban. kompl. „ 16.
„ 130 Najstaranniej wykonane skrzypce, silnie i pełnodźwięczące, z garniturem hebanowym, kompletne . . „ 20.

Zestawienia takie nadają się szczególnie na podarki dla początkujących i uczniów. — Opakowanie w drewnianej skrzynce 70 hal. **Nieodpowiadające przyjmuje się chętnie napowrót. lub wymienia się takowe.**

Przesyłka za zaliczką przez **HANNS KONRAD,** Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych w BRÜX, Nr. 480 (Czechy). — Bogato illustrowany polski cennik z przeszło 1000 rycinami na żądanie darmo i opłatnie.



Babymira-Krem jest złożony z najdelikatniejszych i najprzyjemniejszych składników, które szybko i gruntownie **usuwają wszelkie wyrzuty skórne,** zwłaszcza **łupież.** Chroni od potu goi szybko skórę przepoconą i z wilgoci popękaną skórę: pod tym względem przewyższa wszelkie dotychczas znane środki lecznicze. Jest również polecenia godnym dla dorosłych przy nadwyrężeniu skóry, przy otarciu, wilku i poceniu się nóg. Chroni skórę przed szkodliwymi wpływami i wydelikaca takową. Działa skuteczniej od pudru. — Zamawiając wprost u wytwórcy

aptekarza H. BRODJOVIN, Agram, Nr. 94

kosztuje 5 pudełek **kor. 3·20,** 10 pudełek **kor. 5·80** opłatnie.

Prawdziwy tylko z ustaw. chron. znakiem „Babymira-Krem“.

MAGAZYN BRONI PIELECKIEGO PRZENIESIONY NA ULICĘ AKADEMICKĄ 4 NAPRZECIW KAWIARNI SCHNEIDRA

POLECA **BROWNINGI REWOLWERY --MAUSERY-- --PATRONY--**

Ubiory męskie -- i dla chłopców

w wielkim wyborze poleca

S. W. Schleifer, Lwów

ul. Sykstuska 1. 3.

Bajecznie tanio!!

MAGAZYN I PRACOWNIA FUTER

Felika i Juliana Lubelskich

WE LWOWIE, UL. WAŁOWA 8

Polecamy na sezon zimowy nasz bogato zaopatrzony zapas **Futer w skurach** jakoteż gotowe **Futra damskie i męskie, Saka, Peleryny, Paletociki, Żakiety astrahan., Kołnierzy, Boa, Zarękawki, Czapki, Kurtki myśliwskie i Futra do podróży.**

Materye na wierzchy w kolosalnym wyborze!

Wykonanie trwałe i staranne.

— Ceny nadzwyczaj niskie. —

Bogato illustrowane cenniki wysyłamy odwrotnie.

Magazyn materyj na meble, Portier, Firanek do okien, Dywanów, Chodników i Dekoracyj pokojowych. Kapy na łóżka,

W. PRIMUS & S. IGLICKI

Lwów, ul. Jagiellońska l. 12.
Kraków, ul. Sławkowska l. 10, (naprzeciw Grand-Hotelu)

Serwety na stoły, Meble do salonów, sypialni, jadalni, oraz męzkich pokoi, Tapety. — Własna pracownia tapicerska.

Modne grzebyki i szpilki franc. i ang. modele

Wody toaletowe, mydła, polisoary poleca **St. Wiskida, Kraków,** salon fryzyerski **(Hotel Saski)**

Szampoing Petrole do mycia włosów i aparat do suszenia włosów Pań w osobnym pokoju. Patentowane podkłady do fryzur. — Hygieniczny salon dla Panów. Rendez-vous dla obcych.